Cena 25 zł.

KUŹNICA

Rok IV Łódź, 29 luty 1948 r. Nr 9 (130)

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

WSZYSTKO, CO TERAZ SĘ PISZE, Z POTRZEBY POWINNO WYCHODZIĆ. W GRECJI SIĘ TAK KIEDYŚ WSZYSTKO RODZIŁO.

Juliusz Słowacki

TREŚĆ NUMERU:

ALEKSANDER HERCEN — **CAMICIA ROSSA**

JAN KOTT — **GROŹNY DICKENS**

MIECZYSŁAW JASTRUN — **KRYTYKA I POEZJA**

SEWERYN POLLAK — **WIELEMIR CHLEBNIKOW**

WIELEMIR CHLEBNIKOW — **WIERSZE**

J. Ż. — **WYSTAWA ZBIOROWA JANA CYBISA**

STANISŁAW BRUCZ — **„OBCY" CAMUS'A**

ALBERT CAMUS — **OBCY**

PAWEŁ HERTZ — **DRWINY Z RENTIERA**

STEFAN ŻÓŁKIEWSKI — **KLASYCZNE DZIEŁO REALIZMU SOCJALISTYCZNEGO**

JAKUB LITWIN — **DOKUMENT MIESZCZAŃSKIEJ REWOLUCJI**

WANDA GRODZIEŃSKA — **O UCZCIWY STOSUNEK DO SPRAW LITERATURY DLA DZIECI**

MARIUSZ MARGAL — **STYCZEŃ PARYSKI**

STEFAN HRABEC — **OBU-ŻENIE NA PISOWNIĘ**

KAJETAN KOTOWICZ — **FELIETON GOSPODARCZY**

PRZEGLĄD PRASY

KORESPONDENCJA

NOTY

ALEKSANDER HERCEN

przełożył Jerzy Wyszomirski

CAMICIA ROSSA*

Józef Garibaldi (1807 — 1882).

Hercen na łożu śmierci († 1870).

kwiecień 1864.

NIEPODOBNA opisać tego, co się działo w Londynie od czasów Wellingtona i Nelsona nigdy nikogo tak nie przyjmował lud. Zadziwiający kraj: głupi i wielki, pospolity i niezwykły — byk o zapędach lwa... Przyjęcie, zgotowane Garibaldiemu, przeszło wszelkie oczekiwania. Od Seven clm Station do Westminsteru, a stąd do St. James — jeden nieprzejrzany tłum. Lud właził na koła powozu, ściskał ręce, huczał. Przejazd Garibaldiego ciągnął się od wpół od trzeciej do ósmej wieczór; domy zawieszone były dywanami i sztandarami...

...*Prolog.* Fanfary. Zjawia się bożyszcze mas, jedyna wielka osobistość ludowa naszych czasów, ukształtowana po roku 1848 — zjawia się we wszechpromieniach sławy. Wszystko pochyla się przed nią, świętuje ku jej czci — zaiste, odbywa się naocznie **hero-worship**[1]) Carlyle'a. Salwy armatnie, bicie dzwonów, bandery na okrętach, i tylko z tego powodu nie ma muzyki, że **gość Anglii** przybył w niedzielę, a niedziela — to dzień umartwień tutaj... Siedem godzin na nogach Londyn czeka na swego gościa... Robotnicy i książęta, szwaczki i lordowie, bankierzy i **hight church**[2]), republikanin z r. 1848, starszy syn królowej Wiktorii, bosy zamiatacz ulic, urodzony bez rodziców — wszyscy, jeden przez drugiego, szukają jego dłoni, spojrzenia, słowa.

...Przy moście Westminsteru, w pobliżu parlamentu, tłum zwarł się tak szczelnie, że powóz, posuwający się krokiem, stanął; z okrzykami „hurra" ludzie oblepili powóz; kto się mógł przedrzeć do Garibaldiego, ściskał mu dłoń, całował skraj płaszcza, krzyczał: **welcome!**[3]). W upojeniu patrząc na wielkiego plebejusza, lud chciał wyprząc jego konie i sam wieźć go dalej. Książąt i lordów, którzy go otaczali, nikt nie zauważał: zajęli skromne miejsca hajduków i rękodajnych. Ta owacja trwała prawie godzinę: jedna fala tłumu podawała gościa drugiej fali, przyczem powóz posuwał się kilka kroków i znowu się zatrzymywał.

Złość i rozjuszenie konserwatystów kontynentalnych jest zupełnie zrozumiałe. Przyjęcie Garibaldiego nie tylko stanowi obrazę „tabeli rang" i liberii, ale jest nadzwyczaj niebezpieczne jako przykład. To też wściekłość świstków, wysługujących się trzem cesarzom[4]), przeszła wszelkie granice, poczynając od granicy grzeczności. Zaćmiło im się w oczach, zaszumiało w uszach. Anglia pałaców, Anglia skarbców, zapominając przyzwoitości, wychodzi pospołu z Anglią warsztatów na spotkanie jakiegoś **aventurier** — buntownika, który by został powieszony, gdyby mu się nie udało oswobodzić Sycylii. „Dlaczego — pyta schamiała **La France** — dlaczego Londyn nigdy tak nie spotykał marszałka Pellissier[5]), którego sława jest nieposzlakowana?". Ale **La France** zapomniała dodać, że Pellissier palił setkami Arabów z dziećmi i żonami tak, jak u nas wypala się karaluchy.

...Garibaldi powiedział świętą prawdę, mówiąc, że nie jest żołnierzem, lecz po prostu człowiekiem, który się uzbroił, żeby bronić swego zbezczeszczonego ogniska: że jest apostołem-wojownikiem, który gotów jest głosić wyprawę krzyżową i stanąć na jej czele, gotów oddać za swój naród swoją duszę, dzieci swoje, zadać i znieść straszliwe ciosy, wydrzeć duszę z wroga, rozwiać prochy jego — i, zapomniawszy potem o zwycięstwie, rzucić skrwawiony miecz wraz z pochwą w głębokości morskie.

Wszystko to i **właśnie to** zrozumiały narody, zrozumiały masy, zrozumiał motłoch w tym jasnowidzeniu, w tym objawieniu, w którym onego czasu niewolnicy rzymscy zrozumieli niepojętą tajemnicę przyjścia Chrystusa, i tłumy cierpiących i udręczonych, kobiet i starców, modliły się do krzyża Skazańca. Zrozumieć, to znaczy dla nich uwierzyć; uwierzyć — to znaczy czcić i modlić się...

Dlatego też tłumy, jak gdyby w opętaniu, rzuciły się, aby powitać Garibaldiego, ściskały mu dłonie, wołały: **God bless you!**[6]). Kobiety całowały mu ręce, całowały skraj jego płaszcza — widziałem to na własne oczy; i wznosiły ku niemu dzieci swoje, i płakały. On zaś, jak gdyby się czuł w swej rodzinie, uśmiechał się, oddawał im uściski, kłaniał się i ledwie się mógł przecisnąć do drzwi. A gdy wreszcie wyszedł na balkon i, skrzyżowawszy ręce na piersiach, pochylił przed tłumem głowę, tłum umilkł, ucichnął i tak pozostał... Nigdy tak królów nie przyjmowano. Raz jeszcze: zdumiewająca moc tego człowieka zawiera się w jego zupełnej prostocie, w całkowitym zapomnieniu o sobie samym. To — człowiek przeznaczenia.

...Ubrany był tak, jak go znacie z niezliczonych fotografii, obrazków, posążków. Miał na sobie czerwoną wełnianą koszulę, a na niej narzucony płaszcz, w szczególny sposób zapięty na piersiach; chustkę miał nie na szyi, lecz na ramionach, podobnie jak je noszą marynarze, związaną w węzeł na piersiach. W tym wszystkim było mu niezmiernie do twarzy, zwłaszcza w tej opończy...

W ciągu dziesięciu lat zmienił się znacznie mniej, niż się spodziewałem. Wszystkie jego podobizny i fotografie są do niczego: na wszystkich wygląda starszy, czarniejszy — i, co najważniejsza, wyraz jego twarzy nigdzie nie jest uchwycony. A właśnie w tym **wyrazie** zamyka się **cała tajemnica** nie tylko jego twarzy, ale jego samego, jego siły — tej przyciągającej i pełnej oddania się siły, która podbijał zawsze otoczenie, bez względu na to, z kogo się składało: czy to była gromadka rybaków w Nicei, załoga statku na oceanie, oddział guerillasów w Montevideo, pospolite ruszenie we Włoszech, masy ludowe wszystkich krajów, czy też całe kontynenty.

Każdy rys jego twarzy, zgoła nieregularnej i raczej słowiańskiej w typie niźli italskiej, jest ożywiony, przeniknięty dobrocią nieskończoną, miłością i tym, co się nazywa **bienveillance** (używam słowa francuskiego, ponieważ rosyjska „życzliwość" wyświechtała się tak dalece, że jej sens skaził się i spodlał). To samo jest w jego wzroku i w jego głosie, a wszystko to tak proste, tak serdeczne, że każdy człowiek, który nie ma **arrière-pensée** i nie pobiera żołdu od jakiegoś rządu, musi go pokochać.

Ale charakter jego ani wyraz twarzy nie ogranicza się tylko do dobroci; wraz z jego dobrotliwością i zniewalającym obejściem promieniuje zeń nieugięta moc moralna i jakowyś wewnętrzny zwrot ku samemu sobie, pełen zadumania i niezmiernie smutny. Tego rysu, pełnego melancholii i żalu nie dostrzegałem w nim przedtem. Czy to jest lęk przed losem, spoczywającym na jego barkach, lęk przed tym **namaszczeniem**, jakie otrzymał od ludu samego, a którego już się zrzec nie może?... Jestem przekonany,

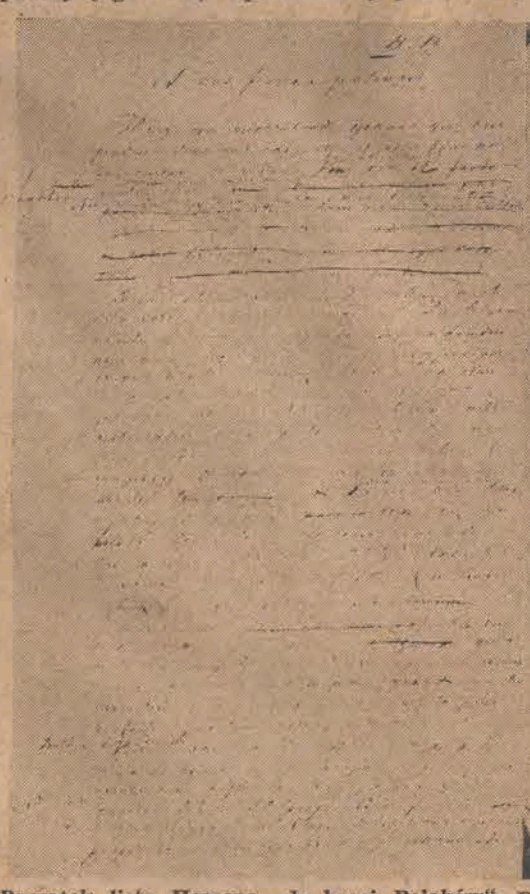

Początek listu Hercena „do braci Polaków" napisanego w związku z wybuchem powstania styczniowego.

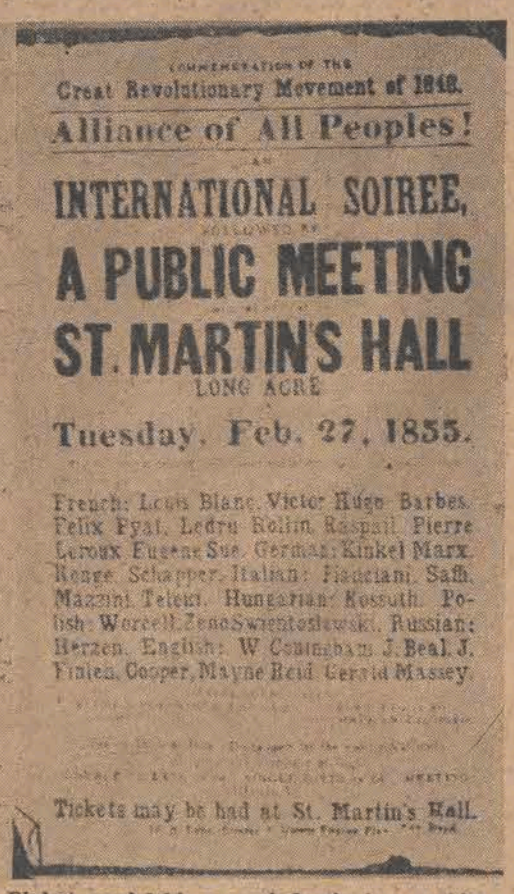

(COMMEMORATION OF THE
Great Revolutionary Movement of 1848.
Alliance of All Peoples!
AN
INTERNATIONAL SOIREE,
FOLLOWED BY
A PUBLIC MEETING
ST. MARTIN'S HALL
LONG ACRE
Tuesday, Feb. 27, 1855.
French: Louis Blanc, Victor Hugo, Barbes, Felix Pyat, Ledru Rollin, Raspail, Pierre Leroux, Eugene Sue, German: Kinkel, Marx, Ronge, Schapper, Italian: Mazziani, Saffi, Mazzini, Telesi, Hungarian: Kossuth, Polish: Worcell, Zenno, Swientoslawski, Russian: Herzen, English: W. Cuninghame, J. Beal, J. Finlen, Cooper, Mayne Reid, Gerald Massey.
Tickets may be had at St. Martin's Hall.

Plakat angielski, z zawiadomieniem o wiecu międzynarodowym, jaki odbył się 27 lutego 1855 r. w Londynie.

*) „Czerwona koszula" — opis pobytu Garibaldiego w Londynie w r. 1864. Fragmenty z pamiętników pt. „Przeszłość i rozmyślania" **(Byłoje i dumy)**, które w tłumaczeniu K. Jaworskiego, Wł. Słobodnika i J. Wyszomirskiego ukażą się nakładem „Wiedzy" w setną rocznicę „Wiosny Ludów".

że podobny rys cierpienia wobec **powołania** znaczył się i na obliczu Dziewicy Orleańskiej i na obliczu Jana z Lejdy[7]): nalegali oni do ludu, żywiołowe zaś uczucia, lub raczej przeczucia, zamorzone w nas, mocniejsze są u ludu. Wiara ich miała w sobie fatalizm, a fatalizm sam przez się jest nieskończenie smutny. „Niech się stanie wola Twoja" — mówi wszystkimi rysami swej twarzy Madonna Sykstyńska. „Niech się stanie wola Twoja" — mówi jej syn-plebeusz i Zbawiciel, modląc się smutnie na górze Oliwnej...

...„Jestem robotnikiem, pochodzę z robotników i szczycę się tym" — mówi Garibaldi. Ale należy zauważyć, że nie ma w nim ani cienia prostactwa plebeuszowskiego, ani też wystudiowanego demokratyzmu. Jego obejście się jest miękkie, niemal kobiece. Włoch i człowiek — Garibaldi na wyżynach społecznych jest przedstawicielem nie tylko plebeusza, wiernego swym zasadom, ale i Włocha, wiernego estetyce swej rasy. Jego płaszcz, zapięty na piersiach, to nietyle płaszcz wojskowy, ile szata wojownika-kapłana **profeta-re**[8]). Gdy podnosi rękę, czeka ją odeń błogosławieństwa i pozdrowienia, nie rozkazu wojskowego...

...Garibaldi zaczął ze mną rozmowę o sprawach polskich. Zdumiewał się odwadze Polaków.

— Bez organizacji, bez broni, bez ludzi, bez otwartej granicy, bez najmniejszego oparcia wystąpić przeciw potężnemu, wojennemu mocarstwu i walczyć rok przeszło: takiego przykładu niemasz w dziejach. Byłoby dobrze, gdyby inne narody podjęły tę walkę. Tyle bohaterstwa nie może, nie powinno się zmarnować. Myślę, że Galicja gotowa jest do powstania?

Milczałem.

— To samo Węgry? Pan nie wierzy?

— Nie, po prostu nie wiem.

— A czy można się spodziewać jakiegoś ruchu w Rosji?

— Żadnego. Tam nic się nie zmieniło. — Rząd czując, że wszystkie jego nikczemności, popełniane w Polsce, znadują poparcie, idzie na łeb na szyję, ma Europę za hetkępętelkę, a społeczeństwo upada coraz bardziej. Lud milczy: sprawa polska, to nie jego sprawa. My i Polacy mamy wprawdzie jednego, wspólnego wroga, lecz różnie stawiamy zagadnienia. Ponadto, my mamy dużo czasu przed sobą, a im się śpieszy.

Rozmowa ciągnęła się kilka minut, ale w drzwiach jęły się pokazywać arcyangielskie twarze, szeleścić suknie kobiece... W tym momencie zjawił się **poeta laureatus** Tennyson z żoną: wawrzynów było już zbyt wiele...

...Nasza uroczystość była skromna: nie wzięło w niej udziału nawet dwudziestu zaproszonych gości. Przy śniadaniu powstał Mazzini i, wznosząc swój kielich, powiedział co następuje:

— W toaście, który chcę wznieść, połączę wszystko to, co kochamy i o co walczymy:

„Za wolność ludów —

„Za przymierze ludów —

„Za tego człowieka, który w czasach naszych jest żywym wcieleniem tych wielkich ideałów, za **Józefa Garibaldiego —**

„Za nieszczęśliwą świętą, bohaterską Polskę, której synowie w milczeniu biją się od roku i umierają za wolność —

„Za młodą Rosję, która pod sztandarem **Ziemi i Woli** poda wkrótce Polsce dłoń braterską, uzna jej równość i niepodległość i zmaże wspomnienie Rosji carskiej —

„Za tych **Rosjan**, którzy śladem przyjaciela naszego Hercena trudzili się najbardziej nad rozwojem tej nowej Rosji —

„Za religię obowiązku, z której czerpać musimy siły do walki i śmierci za te ideały!"

Wówczas powstał Garibaldi i z kieliszkiem marsali[9]) w ręku powiedział:

— „Chcę dziś dopełnić obowiązku, który oddawna wypełnić należało. Jest wśród nas człowiek, który oddał największe usługi i ojczyźnie mojej i wolności w ogóle. Gdy byłem młodzieńcem i miałem mgliste zaledwie dążności, szukałem człowieka, który by mógł być przewodnikiem i doradcą mojej młodości, szukałem go, jak spragniony wędrowiec szuka wody. Znalazłem go. On jeden czuwał, gdy wszystko dokoła spało. — Stał się moim przyjacielem i pozostał nim na zawsze; nigdy nie gasnął w nim święty ogień miłości do ojczyzny i do wolności. — Człowiek ten, to **Józef Mazzini.** Wznoszę ten kielich za niego, za **przyjaciela mojego, za mistrza mojego".**

W głosie Garibaldiego, w wyrazie jego twarzy, z jakim wypowiedział te słowa, było coś tak zachwycającego i wstrząsającego, że przyjęto je nie oklaskiem, lecz łzami.

Po chwili milczenia Garibaldi mówił dalej:

— „Mazzini powiedział kilka słów o nieszczęśliwej Polsce, z którymi najgłębiej współczuję. Za Polskę, ojczyznę męczenników, za Polskę idącą na śmierć w imię niepodległości, za wielki wzór, jaki daje narodom!

„Teraz za **młodą Rosję**, która cierpi i walczy, jak my, i zwycięży jak my, za nowy naród, który, wyzwoliwszy się i zmógłszy Rosję carską, powoławy będzie zapewne do odegrania wielkiej roli w losach Europy.

„Za **Anglię** wreszcie, za kraj niezależności i swobody, za kraj, który gościnnością swoją i współczuciem do prześladowanych, zyskał najszczerszą wdzięczność naszą. Za Anglię, która pozwala nam zgromadzić się po przyjacielsku, jak czynimy to dziś".

...Po odjeździe Garibaldiego napisałem do niego list następujący:

„Tak byłem przejęty wczoraj, że nie powiedziałem Panu tego, com chciał, żem się ograniczył tylko do wyrazów wdzięczności w imieniu **nadchodzącej** Rosji, uciemiężonej dziś nie mniej niż Polska, w imieniu Rosji, mrącej w kazamatach i kopalniach Sybiru, lecz **żyjącej** w świadomości ludu, budzącego się ku swym ideałom **ziemi i woli** oraz w owej mniejszości, która jest prześladowana za to, że wypowiada te dążenia ludu.

„Z radością usłyszą nasi dalecy przyjaciele słowa Pańskie, pełne współczucia; potrzebne im są one; na ich cierpienia rzadko kto złoży wieniec; odblask zbrodni, dokonywanych w Polsce, pada na nas wszystkich.

„W istocie nie żałuję, żem nic nie dodał do moich słów wdzięczności. Cóż mogłem dodać? Wznieść toast za Włochy? To, co czułem, źle by się zmieściło w toaście.

„Patrzyłem na was obydwóch, słuchałem was z młodzieńczym uczuciem pietysty, które nie licuje już z moim wiekiem i, widząc, jak wy, dwaj wielcy przewodnicy narodów, witaliście jutrzenkę wschodzącej Rosji, błogosławiłem wam pod skromną strzechą naszą.

„Wam zawdzięczam najpiękniejszy dzień mojej zimy, dzień doskonałej jasności — i za to raz jeszcze chcę was uścisnąć z płomiennym dziękczynieniem, z głęboką miłością i czcią bezgraniczną"....

Aleksander Hercen
przełożył Jerzy Wyszomirski

---

[1]) hołd składany bohaterom; adoracja herosów.

[2]) panujący kościół anglikański.

[3]) bądź powitany!

[4]) Napoleon III, Franciszek Józef, Aleksander II.

[5]) Marszałek Pellissier, książę Małakowa (1794—1863), naczelny dowódca armii francuskiej, oblegającej Sewastopol. W r. 1845 odbył wyprawę do Algieru, do Dahry, gdzie w grocie Uled-Riah żarem i dymem zadusił około tysiąc Arabów.

[6]) Niech Bóg Cię błogosławi!

[7]) Jan z Lejdy (1509—1536), krawiec, prorok wędrowny, nowochrzczeniec, założył w Monasterze „apokaliptyczne władztwo Chrystusa", wprowadził wielożeństwo i komunizm gminny. Roku 1536 stracony.

[8]) prorok-król.

[9]) marsale — wino sycylijskie. 11 maja 1860 r. Garibaldi wylądował w Marsylii na Cycylii i objął wyspę w imieniu Wiktora Emanuela II, przyłączając ją do Włoch.

JAN KOTT

GROŹNY DICKENS*)

NA POSIEDZENIU w dniu 12 maja 1827 roku wybuchł straszny spór pomiędzy członkami Klubu Picwicka. Pan Biottom z Algate uczuł się dotknięty zarzutami dożywotniego prezesa Klubu i nazwał go blagierem. Powstało okropne wzburzenie, które uspokoiło się dopiero z chwilą, kiedy pan Blottom oświadczył, „że osobiście przejęty jest najgłębszym szacunkiem dla tak szanownego gentlemana, jakim jest pan Pickwick. Nazwał go blagierem tylko z punktu widzenia czysto „pickwickowskiego". Pan Pickwick zadowolił się wyjaśnieniami swego szlachetnego przyjaciela i oświadczył, „iż własne jego spostrzeżenia powinny być także pojmowane w znaczeniu czysto pickwickowskim".

Tak się zaczyna jedna z największych epopei świata, oczywiście w znaczeniu czysto pickwickowskim. Ale lękam się, że z punktu widzenia czysto pickwickowskiego patrzymy dotąd na samego Dickensa. Napisał kiedyś Alain, że dwaj najwięksi epicy — to Homer i Dickens. Bohaterowie ich bowiem nie tylko walczą, kochają się i umierają, ale jedzą i śpią. To ich umieszcza na ziemi, uczłowiecza. Achilles, który jest bardzo głodny, Odysseusz, który jest bardzo śpiący — nie przestają być bohaterami, ale stają się ludźmi. Stąd wielki humor „Iliady" i „Klubu Pickwicka". Podobnie w którymś z historycznych dramatów Szekspira król angielski po wygłoszeniu groźnej i patetycznej mowy zwraca się do obecnych spokojnie i po ludzku:

„Odejdźcie proszę szlachetni lordowie.
Mam z księciem Walii coś do pomówienia".

Poczem zaprasza zwyczajnie księcia Walii na kolację. Bohater, który jest śpiący i głodny, nie staje się przez to szarym człowiekiem. Szarzy ludzie tym się odznaczają, że nie biorą udziału w żadnych wielkich sprawach, że istnieją sami dla siebie ze swą małością, bogactwem i nędzą. Jest to oczywiste kłamstwo. Homer i Dickens pokazują, że każdy z nas bierze udział w wielkiej epopei. Hektor był także dobrym woźnicą, a woźnica Pirbingle ze „Świerszcza za kominem" jest także wielkim bohaterem, choćby przez swą naiwność i dobroć. I jest bardzo głodny, kiedy wraca do domu. Jak u Homera.

Ale w świecie Dickensa woźnica jest przede wszystkim woźnicą, adwokat —

adwokatem, a fabrykant — fabrykantem. To są postaci dramatu. Nie ma u Dickensa złych i dobrych ludzi, są źli i dobrzy sędziowie, źli i dobrzy kupcy, złe i dobre piastunki. Postaci Dickensa zbudowane są ze stopu najprostszych uczuć, posiadają zaledwie parę gestów, które powtarzają aż do znudzenia, są przerysowane, karykaturalne, niezmienne. Traddles, przyjaciel Dawida Copperfielda, w sądzie i szkole tak samo rysuje szkielety, za każdym razem włosy mu się coraz bardziej jeżą do góry, jest wierny i poczciwy. A mimo to Traddles obdarzony jest najprawdziwszym życiem, i nie tylko żyje, jest bohaterem.

Agamemnon był pyszny, Hektor był szlachetny, Ulisses był przebiegły. Agamemnon, Hektor i Ulisses są bohaterami. W oksfordzkim wydaniu Dickensa wszystkie powieści poprzedzane są opisem postaci, w którym każda z występujących osób, scharakteryzowana jest w sposób zwięzły i wyczerpujący. Pan Pickwick jest to dobroduszny uczony, pan Tupman — gentleman nadmiernie skłonny do miłości, pan Snodgrass marzy o sławie poetyckiej.

Ale wyolbrzymieniom i uproszczeniom, mitologizowaniu natury ludzkiej, karykaturze, grotesce i melodramacie, które czynią z Dickensa ostatniego ucznia wielkich powieściopisarzy angielskich XVIII wieku, towarzyszy bogactwo rysów obyczajowych, cech zawodowych, typowych sytuacji społecznych. Rzadko kiedy umiemy odczytać z „Iliady" historię codziennego życia pasterzy i rozbójników. U Dickensa lekceważymy epopeę burżuazyjnej Anglii. Dickens nie jest wcale tak dobroduszny, łagodny i sielski, jak to usiłowali nam przedstawić mieszczańscy krytycy. Wiele groźnych, nie mniej groźnych historii, niż u Homera, wyczytać możemy nawet w samym „Klubie Pickwicka".

Ta „Odyssea" w dyliżansie od jednej gospody do drugiej, gdzie na każdej stronie pije się gorący poncz i zajada pieczone kurczaki, dzieje się jednak w epoce kapitalizmu. Pan Pickwick, apostoł filantropii, zdrowego rozsądku i ciekawości życia jest mieszczańskim świętym. „Nigdy nie słyszałem — mówi do Hioba Trottera Sam Weller — ani w żadnej książce historycznej o tym nie czytałem, ani nie widziałem na żadnym obrazie anioła w kamaszkach i z okularami; ani nawet w teatrze, o ile sobie przypominam, chociaż tam z innych względów można by to zrobić; ale pomimo to, Hiobie, powiadam ci, że jest to anioł czystej krwi..."

Opis wyborów w małym miasteczku angielskim, któremu przypatruje się ten anioł w kamaszkach i z okularami, jest nie mniej dramatyczny, nie mniej epicki od zdobywania stolicy Priama.

„Jest dwudziestu ludzi należycie wymytych, którym pan uściśniesz rękę we drzwiach — mówi agent wyborczy, pan Parker, do kandydata na posła pana Samuela Slumkeya — jest sześcioro dzieci na rękach matek, które pan pogłaszczesz po głowie i o które spytasz pan, ile mają lat, zwłaszcza pamiętaj pan o dzieciach, kochany panie. Takie postępowanie sprawia zawsze dobry efekt.

— Pomyślę o tym — rzekł szanowny Samuel Slumkey.

— A może też pan, kochany panie — dodał przewidujący mały człowieczek — może będzie pan mógł... nie mówię by to było konieczne... ale gdybyś pan mógł zdecydować się ucałować jedno z dzieci, to by wywarło ogromne wrażenie..."

I jeszcze: „Przez cały czas głosowania miasto było w stanie jakiegoś gorączkowego entuzjazmu. Wszystko odbywało się w sposób najliberalniejszy. Napoje spirytusowe były szczególnie tanie we wszystkich szynkach. Po mieście roznoszono nosze dla dogodności wyborców, którzyby doznali chwilowego zawrotu głowy, ponieważ przez cały czas trwania walki wyborczej ten rodzaj choroby rozwijał się pomiędzy głosującymi z zadziwiającą i przerażającą szybkością; często widywano ich leżących na bruku w stanie zupełnej bezwładności..."

Do roku 1832 w hrabstwach głosowali tylko posiadacze ziemi, przynoszącej czterdzieści szylingów dochodu. Nowe miasta, które powstawały wskutek przewrotu ekonomicznego, nie miały reprezentantów w Parlamencie. Natomiast w osiedlach wiejskich każdy właściciel domku — miał prawo wyborcze. Wiele z tych osiedli było zupełnie wyludnionych i zdarzało się, że zgromadzenia wyborcze składały się z jednej osoby, która najformalniej w świecie sama siebie wybierała posłem. Burżuazja od czasów wojen napoleońskich walczyła o reformę przestarzałego prawa wyborczego, wykorzystując dla swoich celów budzący się ruch robotniczy ...Klasy średnie za „Dziejami Anglii" André Maurois cytuje Trevelyana — pragnęły reformy, zarówno, aby pśmierzyć nastrój rewolucyjny, jak aby bronić swych własnych praw przed arystokracją, do której nie miały zaufania".

W roku 1832 udało się kupcom, bankierom i przemysłowcom przy pomocy klasy robotniczej wymusić reformę parlamentarną na siedemdziesięciu właścicielach miasteczek złożonych z „martwych dusz". „Wszystkie dziewczęta — pisał Sydney Smith — wiedzą, że natychmiast po uchwaleniu reformy wyborczej znajdą mężów. Uczniowie sądzą, że zostaną znicsione wiersze łacińskie i potanieją ciastka. Kapral i sierżant są pewni, że będą mieli podwójny żołd. Kiepscy poeci spodziewają się, że ich wiersze będą czytane... a głupcy zawiodą się, jak to zresztą zawsze z nimi bywa". Sydney Smith, jak widzimy, zapatrywał się na reformę wyborczą z punktu widzenia „czysto pickwickowskiego".

W rzeczywistości zawiedli się na reformie nie głupcy, ale robotnicy. Prawa wyborcze otrzymali tylko ci mieszkańcy miast, którzy płacili roczny czynsz w wysokości co najmniej 10 funtów. Liczba wyborców podniosła się jedynie o 130 tysięcy. Klasa robotnicza nie zyskała na reformie nic,

---

*) „Klub Pickwicka". Przekład Włodzimierza Górskiego, przejrzany i opatrzony przedmową Stanisława Helsztyńskiego. (Państwowy Instytut Wydawniczy). Dawid Copperfield". Przekład Karoliny Beylin (Książka). „Opowieść o dwóch miastach" ukaże się wkrótce nakładem „Wiedzy".

prócz doświadczenia. Kiedy w dwadzieścia lat później Gladstone, broniąc w Parlamencie projektu obniżenia cenzusu wyborczego do siedmiu funtów, wykrzyknął: „Ludzie, o których mowa są to nasi bracia, chrześcijanie jak my, nasze ciało i krew", jeden z torysów zapytał go — jak przytacza Maurois — dlaczego nasze ciało i krew kończą się na siedmiu funtach komornego.

Pan Pickwick nie przejmował się kampanią wyborczą. „Klub Pickwicka" jest najbardziej radosną książką Dickensa. W literaturze angielskiej zajmuje miejsce „Pana Tadeusza", jest pożegnaniem rzuconym starej, szczęśliwej i wesołej Anglii, która nieuchronnie odchodziła w przeszłość. Ale nawet mieszczański anioł w okularach i kamaszach znalazł się w więzieniu za długi. W tej wielkiej „Odyssei w dyliżansie" więzienie za długi zajmuje miejsce Hadesu. To jest zresztą historyczne piekło drobnomieszczanina. Wchodzimy w krąg osobistego i społecznego doświadczenia pisarza.

Karol Dickens urodził się w roku 1812 w Landport pod Portsmouth. Ojciec jego był urzędnikiem cywilnym marynarki angielskiej, człowiekiem wesołym, dobrodusznym, który kochał się w tradycjach starej, dobrej Anglii. Dzieciństwo miał Dickens radosne, słoneczne i barwne. Nie trwało to długo. Kiedy Dickens miał dziesięć lat, ojciec poszedł do więzienia za długi. Matka borykała się z nędzą, walcząc o utrzymanie rodziny. Wkrótce musiało także szukać przytułku w budynku więziennym. Chłopiec zdany został na własne siły. Musiał walczyć o byt w społeczeństwie, które nie znało litości.

Para i maszyna tkacka przeobraziły rękodzielnictwo w nowoczesny przemysł. Pierwsze lata rewolucji technicznej stworzyły klasę średnią, wielki przemysł stworzył klasę robotniczą i nową arystokrację pieniądza. Coraz czybciej dokonywał się podział społeczeństwa na wielkich kapitalistów i najemników, którzy sprzedawali własną pracę. *Rozwój kapitalizmu zniszczył dawną klasę średnią*, rewolucjonizował ustabilizowane życie społeczne. „Wszelkie ramy — pisze Marks w „Kapitale" — obyczajów i natury, wieku i płci, dnia i nocy zostały zburzone. Nawet pojęcie dnia i nocy, tak proste dla wszystkich, zatarły się tak dalece, że angielski sędzia jeszcze w

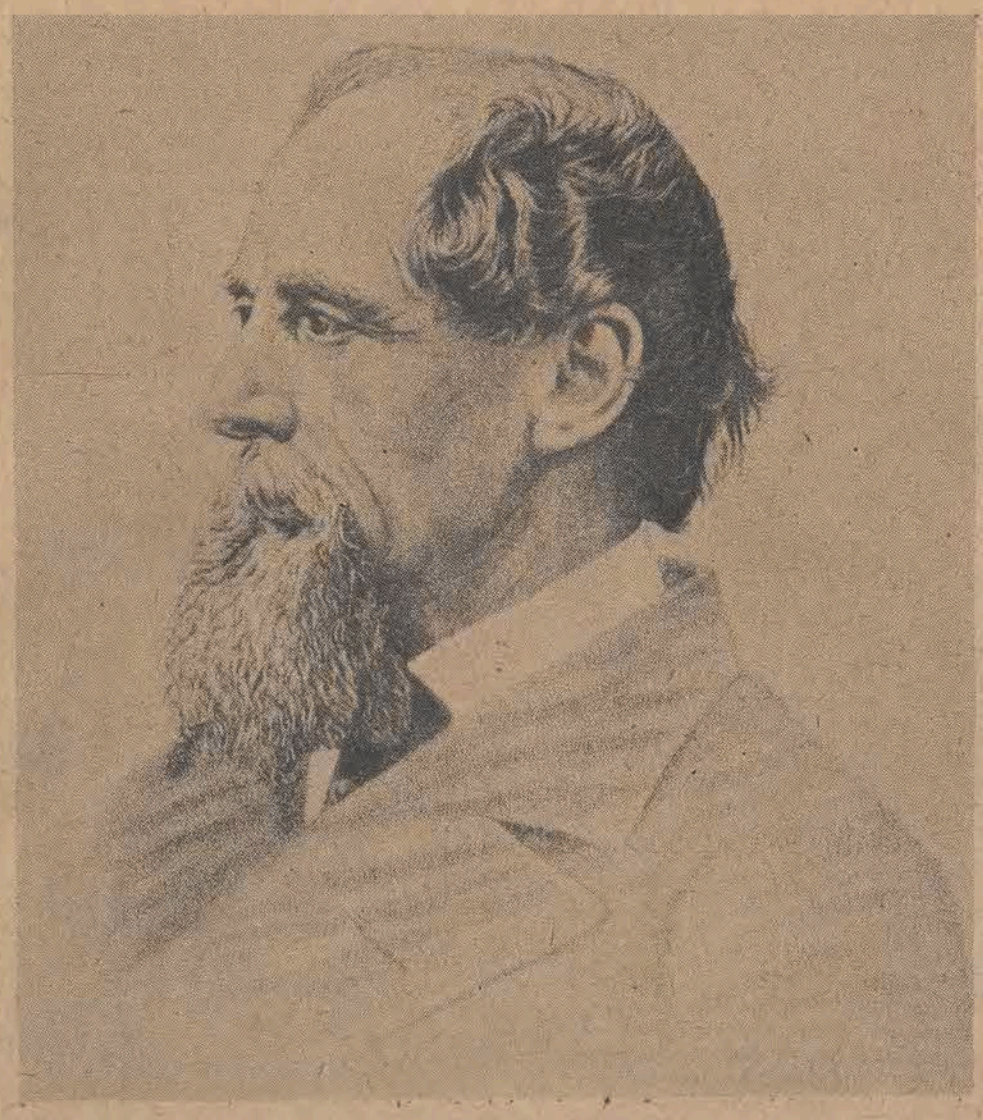

Karol Dickens

roku 1860 musiał użyć swej iście talmudycznej bystrości, by autorytatywnie wyjaśnić, co to jest dzień, a co noc. Kapitał święcił swoje orgie". Dzień roboczy trwał do 16 a nawet do 18 godzin. W kopalniach używane były kobiety, jako zwierzęta pociągowe. Zatrudniano nawet czteroletnie dzieci.

Dopiero ustawa z roku 1833 zakazała zatrudniania w fabrykach dzieci poniżej lat dziewięciu (poza zakładami jedwabniczymi) i ograniczyła czas pracy młodocianych poniżej trzynastu lat do 48 godzin na tydzień, albo maksymalnie do dziewięciu godzin dziennie. Ta sama ustawa zakazywała pracy nocnej dla robotników, poniżej lat osiemnastu i ograniczała dla nich czas pracy do dwunastu godzin dziennie.

Rodzina Dickensa podzieliła los tysięcy rodzin drobnomieszczańskich. Uprzemysłowienie Anglii odbywało się kosztem najbardziej bezwzględnego wyzysku robotników, kosztem sproletaryzowania warstwy średniej. Kapitalizm w jego najbardziej bezwzględnym okresie był szkołą życia młodego Dickensa. Opuszczony chłopiec znalazł pracę w fabryce pasty do butów. Zarabiał tak, jak Dawid Coperfield, po sześć szylingów tygodniowo.

W roku 1834 stronnictwo whigów przeprowadziło w Parlamencie reformę Prawa Ubogich, ograniczając zapomogi publiczne, które przyznawane były dotychczas robotnikom rolnym, kalekom i nędzarzom. Raport parlamentarnej komisji stwierdzał, „że dotychczasowy system niszczył kraj, był przeszkodą dla przemysłu, stanowił zachętę dla lekkomyślnych małżeństw i ograniczał wpływ wzrostu ludności na płace; zniechęcał pracowitych i uczciwych, ochraniał próżniaków i utracjuszów, niszczył więzy rodzinne, przeszkadzał gromadzeniu się kapitałów i rujnował płatników, a w dodatku faworyzował dzieci nieślubne". Wszystko to odbywało się w imię szczytnych zasad liberalizmu, wolnej umowy o pracę i postępu, który przynosi wolna konkurencja.

Nassau Senior, przewodniczący tej parlamentarnej komisji, uważał — powtarzam za „Dziejami Anglii" Maurois — że najlepszym środkiem zniesienia ubóstwa było nigdy nie pomagać ubogim. „Jeżeli ludzie wiedzą, że muszą albo pracować, albo umrzeć z głodu, pracują. Jeżeli ludzie młodzi wiedzą, że nie będą mieli pomocy w starości, oszczędzają. Jeżeli starcy wiedzą, że będą potrzebowali pomocy swych dzieci, starają się, żeby te dzieci ich kochały. A więc żadnej pomocy, chyba dla tych, którzy naprawdę nie mają ani rodziny, ani środków utrzymania".

W myśl postanowień Poor Law Amendment Act z roku 1834 wybudowano domy pracy, podobne do więzień, które wkrótce zyskały sobie nazwę „Bastylii biedaków". Kobiety odrywano od mężów, dzieci od rodziców. Los sierot w „domach pracy" opisał Dickens w słynnej powieści „Oliwer Twist". Zostaną w historii Anglii jego słowa: „Sądzę, że nigdy nie było od czasów Stuartów, prawa stosowanego w sposób tak haniebny, prawa tak jawnie gwałconego, prawa, którego wykonywanie byłoby tak źle pilnowane".

Droga Dickensa prowadziła od pakowania pudełek w fabryce pasty do butów, przez „Doctors Commons", szacowną dzielnicę sądów w Londynie, gdzie pracował w kancelarii adwokackiej, poprzez stenografowanie mów w Parlamencie i dziennikarstwo do literatury. Warto może przypomnieć, że „Klub Pickwicka" napisany został na zamówienie słynnego ilustratora angielskiego Seymoura, który zaproponował dwudziestoczteroletniemu Dickensowi pisanie tekstów do swoich rysunków. „Klub Pickwicka" wychodził w odcinkach gazety. W ciągu roku Dickens stał się sławny.

„Klub Pickwicka" (1836) był pożegnaniem, rzuconym starej Anglii. Następne powieści Dickensa stają się coraz bardziej społeczną historią kapitalizmu. Pomiędzy „Odyssą w dyliżansie" a „Ciężkimi czasami" (1854), powieści o wyzysku robotników w Manchesterze i „Opowieści o dwóch miastach" (1859) wydaje się, że upłynął wiek. W rzeczywistości przedziela te trzy powieści dwudziestolecie zaciętych klasowych walk, które przyniosło ostateczne zwycięstwo burżuazji przemysłowej i klęskę społecznego i politycznego ruchu proletariatu angielskiego — czartyzmu. Rewolucja 1848 roku we Francji obaliła burżuazję angielską. Proklamacje zwycięskich robotników paryskich przeraziły drobnomieszczaństwo, którego ogromna większość popierała rewolucyjne żądania czartystów. Czartyzm został zdławiony.

„Opowieść o dwóch miastach" jest nie tylko powieścią historyczną. Jest jednocześnie wielkim ostrzeżeniem, rzuconym angielskiej klasie panującej. Dickens pokazuje okres terroru Rewolucji Francuskiej. Zacnego drobnomieszczanina przeraża wybuch żywiołowej nienawiści, która za grzechy ojców każe odpowiadać synom. W tłumie paryskim dostrzega Dickens jedynie okrutną, ślepą i groźną siłę zniszczenia. Ale chociaż Dickens nie mógł sprawiedliwie ocenić historycznego znaczenia okresu terroru, dostrzegł jednak w Rewolucji Francuskiej nie tylko walkę pomiędzy mieszczaństwem i szlachtą, ale zarazem walkę pomiędzy szlachtą i mieszczaństwem, a nieposiadającymi klasami. Odważnie i uczciwie pokazuje wielkie przyczyny Rewolucji: nędzę i głód, przemoc i zwierzęcy byt ludu.

„Jakże to wiele sobie robiono z żon i matek — mówi bohaterka powieści, pani Defarge — na które patrzyłyśmy, kiedy byłyśmy mniejsze, niż to dziecko? Znałyśmy dość mężów i ojców, których porywano i trzymano w więzieniach. Przez całe nasze życie widziałyśmy nasze siostry — kobiety cierpiące w sobie i w swoich dzieciach nędzę, głód, nagość, pragnienie, choroby, ucisk i poniewierkę wszelkiego rodzaju".

Ale szlachetnego drobnomieszczanina z epoki wiktoriańskiej nie mniej od wybuchu klasowej nienawiści przeraża egoizm i głupota możnych. Oto portret emigranta, który do dziś pozostał aktualny: „Jaśnie oświecony pienił się i chełpił tym wszystkim, co niezadługo uczyni, aby się zemścić na podłym motłochu. Należało to do zwyczajów jaśnie oświeconego, jako zbiega i do ogólnych zwyczajów angielskiej narodowej lojalności, aby mówić o tej straszliwej rewolucji, jako o jednym pod słońcem ziarnie, które nie posiane wyrosło, i jak gdyby ci, którzy patrzyli trzeźwo na potworny ucisk ludu we Francji, na jego niedole, jego krzywdy, nie przepowiadali zdawna, że ku temu idzie, że to jest nieuniknione, i jak gdyby nie nawoływali — do opamiętania póki czas. Ale jaśnie oświecony nigdy o tym myśleć nie raczył, ani też nie chciał tego sobie obecnie przypomnieć. Jaśnie oświecony umiał tylko burzyć się i pienić, knuć najdzikse spiski w celu przywróce-

MIECZYSŁAW JASTRUN

KRYTYKA I POEZJA

W nr. 6 tygodnika „Wieś" zwraca uwagę nota Anny Kamieńskiej pt. „Problemy krytyki". Kamieńska podkreśla przeciwieństwo między krytyką marksistowską dążącą do uściślenia trudnych zagadnień teorii literatury i jej zastosowania w praktyce a opartą na absolucie i intuicji krytyką idealistyczną.

Największą trudność — stwierdza autorka — przedstawia dla oceny krytycznej — poezja. Pod tym względem artykuł Czesława Miłosza o wierszach Iwaszkiewicza, zamieszczony w nr. 4 „Odrodzenia", jest szczególnie znamienny. Kamieńska nazywa essay Miłosza „wdzięczną gawędą". Nam jednak wydaje się essay ten czymś więcej. Jest to program poetycki Miłosza — jeśli tylko znakomity autor „Ocalenia" nie posługuje się jedną ze swych uroczych masek, także w tej wypowiedzi o drugim poecie, jeśli mówi zupełnie serio.

Miłosz zbywa zagadnienia, o których pisze, gestem może zbyt lekkim. Nie po raz pierwszy upraszcza tu Miłosz sprawę romantyzmu polskiego (Porównaj: „List półprywatny o poezji" — „Twórczość" zeszyt 10) pojmując go wąsko i jak gdyby nie wiedząc o tym, że to co u nas nazywa się okresem poezji romantycznej zawiera w sobie również najlepsze okazy stylu klasycznego barokowego i symbolicznego. Dla Miłosza cała ta epoka poezji wciąż jeszcze jak gdyby streszcza się w obrazie „kolorowego ułana" i patetycznej retoryki. Słusznie podkreślając, że z tej złej romantyczności czerpie dziś poezja emigracyjna, nie widzi w romantyzmie wielkiego źródła poezji polskiej, obok którego żaden z poetów nie może przejść obojętnie. Pomiędzy dwoma utworami Słowackiego, między młodzieńczym „klasycznym" jeszcze opisem Paryża a wyprzedzającą Rimbauda wizją Warszawy w „Uspokojeniu", między wzorowaną na Trembeckim poetyką dużej części utworów Mickiewicza a jego lirykami lozańskimi, które zapowiadają symbolizm, rozciągają się granice stylów, objętych przez szkolną literaturę nazwą stylu romantycznego. Niedostrzeganie tej rozpiętości stylów łączy się często z krótkowzrocznością spojrzenia na historię czy też metodą rozpowszechnioną w naszej nauce — odrywania zjawisk literackich od ich tła i podłoża.

Kto nie dostrzega w romantyzmie rozpędu rewolucyjnego od „Ody do młodości" do „Trybuny Ludów", kto ogranicza się do formalistycznego, technicznego stosunku do spraw literatury, gubi z oczu nie tylko wielkie zarysy epoki, lecz również zagadnienia stylu.

To, co przeciwstawia Miłosz „tyradom" romantycznym, jest równie niedobre jak te tyrady. Wiadomo przecież, że nikt by tu o retorykę romantyczną bojów nie stoczał. Przyznaję, że wolę czytać znakomite wiersze Miłosza niż jego krytyki. Nie ma w tym stwierdzeniu najmniejszej przygany ani pretensji: wybitni poeci bywają często zbyt subiektywnie oceniającymi krytykami. Myślę, że również w wypadku, o którym mowa, duchy krytyki nie są posłuszne laseczce Prospera. Długie cytaty z Pope'a — Kamińskiego, mające służyć za ilustrację stylu z okresu „dużej dyscypliny" nie przekonują. Są przykładem niedobrego smaku tamtej epoki i jak „Zima miejska" mogłyby usprawiedliwić istnienie swe tylko w wypadku gdyby pisane były w zamiarze satyrycznym.

Również nie przekonała mnie teza o twórczej roli konwenansu. Rezygnacja z poszukiwań, rezygnacja z wszelkiego eksperymentu musiałaby zaprowadzić poezję w krainę martwoty.

Wydaje się, jak gdyby Miłosz o tym wiedział i jedynie przez przekorę przybierał dwuznaczną maskę Tejrezjasza, jak w poemacie Eliota, który to poemat pięknie przełożył.

Ta postawa proroczo-żartobliwa jest wynikiem niewiary w możliwość obiektywnej oceny krytycznej. Ale właśnie od tego jest krytyka, by tworzyła normy. Dopóki normy nowej poetyki nie zostaną wypracowane, nieraz jeszcze głos Tejrezjasza będzie gromadził słuchaczy.

Mieczysław Jastrun

nia porządku rzeczy, który przeżył sam siebie i wyczerpał wszelką cierpliwość nieba i ziemi".

Z lat nędzy, głodu i poniewierki wyniósł Dickens wielką znajomość warunków życia wszystkich warstw społecznych, która pozwoliła mu obdarzyć najprawdziwszym istnieniem setki bohaterów swoich powieści. I nie tylko bohaterów. Dickens jest jednym z największych malarzy ulicy londyńskiej; dostojnych arystokratycznych dzielnic, gwarnych i natłoczonych przedmieść, strasznych „slumsów" i romantycznych portowych zaułków. W ulicy londyńskiej dostrzegł Dickens ten sam obraz cywilizacji kapitalistycznej, który uderzył młodziutkiego Engelsa, kiedy w roku 1842 z napół feudalnych Niemiec przeniósł się nagle do handlowej stolicy świata.

„Czyż te setki tysięcy jednostek ze wszystkich klas i wszystkich zawodów, które przechodzą, potrącając się wzajemnie, nie są ludźmi, którzy mają tę samą naturę, te same zdolności i tę samą potrzebę szczęścia.. A jednak mijają się, jak gdyby ze sobą nie mieli nic wspólnego, jak gdyby nic ich nie łączyło wzajemnie, poza cichą umową, że każdy trzymać się ma tej strony trotuaru, która leży po jego prawej ręce... Nikomu nie przyjdzie nawet do głowy, aby zaszczycić kogokolwiek spojrzeniem. Im większa liczba ludzi stłoczona jest na maleńkiej przestrzeni, tym bardziej bolesna i oburzająca jest brutalna obojętność i bezlitosne osamotnienie każdej jednostki, pozostawionej w kręgu jej własnych spraw... Rozpad ludzkości na monady, z których każda ma swoją własną zasadę istnienia i swoje własne cele, świat atomów osiąga tutaj swoją pełnię. Stąd wojna domowa, wojna wszystkich przeciwko wszystkim, jest tutaj otwarcie wypowiedziana... Każdy grabi swojego sąsiada, silny depcze po słabym, a kilkunastu najsilniejszych, to znaczy kapitalistów, zabiera wszystko dla siebie, podczas kiedy dla tłumu słabych i biednych zostaje tylko nagie istnienie". (Fryderyk Engels: „Położenie klasy robotniczej w Anglii").

Gorzkie dzieciństwo było dla Dickensa szkołą miłości i nienawiści. Z lat nędzy wyniósł Dickens głęboką nienawiść do bogaczy, do tchórzliwych, obłudnych i egoistycznych wielkich posiadaczy ziemi, do przebiegłych i okrutnych bankierów, do bezlitosnych i cynicznych fabrykantów. Z nienawiści do mieszczaństwa wyrósł surowy, okrutny i bezwzględny realizm Flauberta, który wszystkich swoich bohaterów unurzać chciał w tym samym błocie. Dickens nie tylko nienawidził ale i kochał. Spośród wielkich realistów on jeden posiadał dar wzruszania. Nie jest nigdy obojętny. Towarzyszy wszystkim swoim postaciom, gniewa się, śmieje, oburza i płacze razem z nimi. Bierze osobisty udział w ich walce, cierpieniach i krzywdzie.

Sentymentalizm. Tak, sentymentalizm angielskiego drobnomieszczanina z czasów królowej Wiktorii, który podzielał wszystkie złudzenia i wszystkie nadzieje swojej klasy. Ale drobnomieszczanin ten był szlachetny i mógł być jeszcze szlachetny. Drobnomieszczanin z czasów królowej Wiktorii wierzył jednocześnie w reformy społeczne i w przyrodzoną dobroć człowieka, wierzył w złe i dobre strony kapitalizmu. W tym jest zarówno wielkość jak i ograniczenie Dickensa.

„Sądzę — mówi Dawid Copperfield do Uriaha Heepa — że to ty w swej chciwości i chytrości byłeś przeciw całemu światu. Może przyda się na przyszłość wiadomość, że chciwość i chytrość nigdy nie osiągają celu. Jest to pewne jak śmierć".

Nie oburza mnie naiwność Dickensa. Nie przeszkadza mi, że bohaterowie jego są czarni lub biali, że zło jest pogłębione, a dobro zwycięża. Jest coś głęboko moralnego w optymistycznych zakończeniach wszystkich powieści Dickensa. Jest coś wielkiego w niezachwianym niczym zaufaniu do świata i natury ludzkiej.

Jan Kott

WIELEMIR CHLEBNIKOW

„Chlebnikow jest chaotyczny, gdyż jest geniuszem" (D. Burljuk); „Wielemir jest bezwzględnie genialny" (W. Iwanow); „Chlebnikow na całe stulecia utorował drogę dla przyszłości" (O. Mandelsztam); „Jest on drganiem przedmiotu — współczesna poezja to jego dźwięk" (W. Szkłowski); „Chlebnikow: osiągnięcie maksymalnej wyrazistości za pomocą mowy potocznej, wolnej od jakiejkolwiek dawnej poetyczności" (Deklaracja w 1 numerze „Lefu").

Kim że był człowiek, o którym wyrażano się w ten sposób? Kim był i co reprezentował ten, kogo futuryści rosyjscy i ich spadkobiercy — od pierwszej założonej przez D. Burljuka grupy futurystów „Gileja" aż po założony przez Majakowskiego „Lef" („Lewy Front Sztuki") i jego odgałęzienia — ogłosili za swego duchowego wodza, a który sam siebie nazywał na wpół serio „przewodniczącym kuli ziemskiej"?

Jeżeli futuryzm włoski, reprezentowany przez Marinettiego, był w swych podstawach socjalnych ruchem imperialistycznym („Wojna jedyną higieną świata!"), a jako program literacki głosił urbanizm i dynamizm, to futuryzm rosyjski, wyrósłszy w okresie carskiego imperializmu z opozycyjnych nastrojów drobnomieszczaństwa, stał się indywidualistycznym i anarchistycznym buntem, pozbawionym wspólnej bazy socjalnej. Rozbici na zwalczające się wzajem grupy, stanowili futuryści rosyjscy ferment, burzący estetykę symbolizmu i akmeizmu. „Poezja to tylko wypowiedź z nastawieniem na wyrażenie — pisze Roman Jakobson — to sztuka jako czysta forma. I jeżeli współczesna poezja radziecka walczy o treść, to dla futurystów poezja była tylko „językiem w jego funkcji estetycznej", a treść określała forma.

Stąd tendencja do obnażania ‚samoistnego słowa", stąd dalej „kult impresjonizmu", „telegraficzny styl duszy", „afektywny, emocjonalny system językowy" (Jakobson). Z chwilą, gdy mowa nie podąża za natchnieniem, gdy skostniałe słowo, reprezentujące tylko i jedynie dane, ogólnie przyjęte pojęcie, nie zdoła przedstawić nowego obrazu poetyckiego, powstaje potrzeba własnego języka poetyckiego, języka ‚pozarozumowego". I tu dochodzimy wreszcie do Chlebnikowa i jego słowotwórstwa. Chlebnikow jako reformator języka dąży do usunięcia dowolności językowego symbolu, do usunięcia jego umowności i do związania techniki wyrażania i jego formy dźwiękowej ze znaczeniową treścią mowy. Idzie dalej. Twierdzi, że we wszystkich językach można wykryć „naturalne" dźwiękowe praelementy znaczeń, tworząc w ten sposób podstawę dla utopijnego międzynarodowego języka poetyckiego. Poeta wedle Chlebnikowa jest twórcą mowy, odkrywającym w słowie „samoistnym" tajemniczy klucz, mistyczną wiedzę. Symplifikując: nie myśl rządzi słowem, lecz słowo, dźwięk — rodzi myśl.

„Jezyk pozarozumowy... to znaczy znajdujący się poza granicami rozumu... Panowanie w zaklęciach, w zamawianiach języka pozarozumowego i wypieranie przezeń rozumnego dowodzi, że posiada on osobną władzę nad świadomością, osobne prawo do życia na równi z językiem rozumowym" — pisze Chlebnikow.

Poezja Chlebnikowa — to poezja dźwięku. W każdym dźwięku zawarte są prawdy — symbole. Od każdego pnia językowego można stworzyć tysiące pochodnych przez dodanie przyrostków i przedrostków, zmieniających wyraz emocjonalnie i znaczeniowo. Tworzy on wiersze oparte na jednym zasadniczym dźwięku, wiersze tzw. „raki" („pieriewiertni"), czytane „na wywrót" itd.

Nie jest to ani zabawa ani dowolność — to system laboratoryjny, nierealny i iluzoryczny, ale płodny o tyle, że w pewnym stopniu wzbogacił arsenał poetycki wielu współczesnych poetów radzieckich.

„Patos **nazywania** był u Chlebnikowa pátosem iluzorycznego opanowywania rzeczywistości, patos słowotwórstwa — patosem iluzorycznego zmieniania rzeczywistości — pisze Wiktor Hofman o językowym nowatorstwie Chlebnikowa.

„Przewodniczący kuli ziemskiej" tworzy utopie nie tylko w dziedzinie słowotwórstwa. Cała jego działalność poetycka opiera się na utopijnym, w genezie swej anarchistycznym stosunku do rzeczywistości. Chlebnikow jest poetą zbuntowanym, ale całkowicie bezradnym i zdezorientowanym wobec odbywających się wokół niego wielkich przemian. Nienawidzi kultury miasta, marzy o stworzeniu jakiegoś mitycznego „państwa przyszłości", gloryfikuje postaci buntowników i rozbójników z XVII i XVIII wieku — Razina i Pugaczowa, widząc w nich wodzów żywiołowych ruchów rewolucyjnych mas chłopskich oraz bojowników przeciw obcości i zachodowi. Głosi zasadę „słowiańskiego pierwiastka w języku międzynarodowym", z gruntu zdawałoby się nacjonalistyczną, a jednocześnie pisze manifest przeciw Marinettiemu, starając się odgraniczyć futuryzm rosyjski od obcego mu w socjalnych założeniach futuryzmu włoskiego. Przy tym wszystkim bierze udział w Rewolucji Październikowej i stawi ją w szeregu poematów. Genezy tego rodzaju postawy szukać należy w oderwaniu części inteligencji rosyjskiej w okresie carskiej *reakcji* od ruchów *klasowo* - rewolucyjnych, w *mitologizowaniu* przez nią rewolucji, w panicznej ucieczce przed wielką problematyką przełomu w dziedzinę abstrakcji i bezpłodnych indywidualistycznych koncepcji.

Reakcja przeciw symbolizmowi, gdzie słowo było podporządkowane wyrażanemu przezeń symbolowi, zwróciła futurystów do zastosowania w poezji języka potocznego, języka ulicy, a w konsekwencji poprzez „słowo samoistne" doprowadziła do teorii „przesunięcia zmartwiałych warstw językowych", do rozerwania struktury syntaktycznej wiersza. U Chlebnikowa nowatorstwa te idą jednak w parze z nawrotem, a właściwie z oparciem się na tradycjach poezji XVIII wieku. Przejawia się to, jak pisze A. Seliwanowski („Oczerki po istorii russkoj sowietskoj litieratury", Moskwa, 1936), w usiłowaniu odrodzenia poematu dydaktycznego, w pomieszaniu rodzajów poetyckich, w ironicznym stosowaniu kolejno „burleski" i „patosu", w starannym usuwaniu z wiersza śladów muzykalności itd. Nie sądzę, aby Seliwanowski w tym ostatnim wypadku miał rację, odnosząc „odmuzykalnianie" wiersza wyłącznie do nawrotu ku tradycjom poezji rosyjskiej XVIII wieku — przecież w założeniach futurystów leżał bunt przeciw muzyczności wiersza symbolistów oraz tendencja do — jak już powiedziałem powyżej — oparcia się na języku potocznym, gdyż (cytuję Jakobsona): „dopiero na tle znanego frapuje i daje się pojąć nieznane". Bądź co bądź zastanawia u Chlebnikowa z jednej strony nawrót ku dawnym tradycjom poetyckim, z drugiej — wybitne nowatorstwo, jednoczesne sławienie słowiańskiej rozbójniczej przeszłości (poematy: „Razin", „Ustrug Razina" i pozytywne, choć nie pozbawione anarchistycznych akcentów, ustosunkowanie się do rewolucji („Nocz pieried sowietami", „Pierieworot wo Władiwostokie" i inne).

Wyjaśnić te pozorne rozbieżności może tylko postawa społeczna Chlebnikowa — bunt przeciw warunkom życia w okresie carskiej reakcji przekształca się tu w bunt przeciw dotychczasowym kanonom literackim, a mistyczne pojmowanie rewolucji jako żywiołu burzącego — w idealizację „rozbójnictwa".

Niedawno minęło dwadzieścia pięć lat od śmierci Wielemira Chlebnikowa (um. w r. 1922); poezja radziecka poszła we wręcz odmiennym kierunku, a eksperyment Chlebnikowa wydał inne co prawda, niż zamierzał jego twórca, lecz bezwzględnie wartościowe rezultaty (nie zapominajmy, że poczynania Chlebnikowa wywarły wpływ na cały szereg poetów od Majakowskiego i Asiejewa aż do Pasternaka i Sielwińskiego, a więc pośrednio i na poetów polskich) — czas więc przypomnieć tego wielkiego reformatora poetyckiego, dziwaka i fantastę.

Seweryn Pollak

MŁOT

Uderzenia młota
W mogiłę morza,
We wzgórza rusałek,
Po kręgosłupach kamieni,
Po palcach miedzianych rąk,
Po lejach kamiennych
W grzbiet wyschniętego potopu,
Gdzie zabawy śnieguł kamiennych
Gdzie zawieja kamiennych bogiń.
Uderzenia młota
Po skórze kamiennego morza,
Po chmurach wyschłych ryb, po morskim sianie,
W śnieżycę kamiennych rusałek,
Których włosy po kamieniach przelały się jak wiatr
Z uczesanymi włosami, gdzie tyle snu i marzeń,
O wydatnych wargach nakształt liścia brzozy.
Na plecy z płaczem padały im włosy,
A potem po fali leciały wstecz,
Wyrośnie on, bóg człowieczy,
A włoski lekkiwie zawyją na trwogę:
Uderzenia młota po wodospadzie oddechu wieloryba,
Po wargach,
Po palcach czarnych rąk,
W olbrzymie oczy żelaznego morza,
Dziewiczego potopu w żelaznych sukniach fal
Po kruchych palcach i kwiatach w dłoni,
Po morzu rusałczanych oczu
O rzęsach długich, okrutnych.
Z górskich rud
Rodzic trud,
Stan opasany latającą rybą
Czarnego morza mórz;
I czarna się prężąc wspinała
Ciemna bryła rusałek,
Córek morskich rodzina.
Uderzenia młota
W potopy morza potomka pomoru,
W pomór mórz
Po falach wyschniętego morza.
Rusałki o czarnych wargach
Biorą kielich
I czarnoksięstwa ssą
Sok
Ciężkich pocałunków młota.
Zgniecione wargi,
Zgniecione pieśni wyschłych mórz,
Gdzie wypływały wieloryby
I wzbijały wodę w wysokie niebo.
Tortur trunek
I czarnego trudu dzban,
Skąd krople czarnych łez
Na fartuch spadły
I na nogi.
Ciemną ręką w ogniu się kąpiąc,
Grzbietem głębiny
I czarnym ciemieniem wysokich ciał
Dotykając młota.
Jak kruk groźny leciał młot
Na kowadło rusałczanych ciał
Na fale morskiego potopu,
Gdzie pieśni bogiń pływały.
A on wyłamywał oczy i ręce
Kruchym kamiennym boginiom,
Ażeby wyrósł żelazny syn.
Jak kłos na polu zakwitł.
Po przez trudy męki rudy
Trud rud,
Przeistoczenie się w belkę żelazną
Z żelaznymi płytami
W chłopaczka tkliwego, śmiałego,
W pędziwiatra bęcwała
O kamiennych i żelaznych włosach
Z pępkiem na czarnym brzuchu,
W żelazną belkę na posłaniu ze stali
W śmiałe o mądrych oczach dziecię.
Żyło na łożu ognia rudego.
Ciemnieje brzuch chłopięcia
Na łożu ciemnego kurhanu.
Tak wyrosło nie on i nie ona
— Ono
W gnieździe marzeń belki żelaznej,
W żelaznych prześcieradłach i kołdrach,
Z dużymi żelaznymi oczyma
Z kędzierzawymi żelaznymi ustami.

Przełożył **Jan Śpiewak.**

WYSTAWA ZBIOROWA PRAC JANA CYBISA

Jan Cybis

W Miejskiej Galerii Sztuk Plastycznych w Łodzi otwarta została wystawa obrazów jednego z najpoważniejszych reprezentantów współczesnego malarstwa polskiego — Jana Cybisa. Jan Cybis — po wieloletnich studiach w Paryżu — powrócił do kraju kilkanaście lat temu wraz z malarzami tej miary co Waliszewski, Potworowski i inni. Ich powrót wówczas stał się wielkim i zapładniającym przełomem dla malarstwa polskiego i atmosfery artystycznej w kraju. Dzisiaj możnaby powiedzieć, że malarstwo Jana Cybisa nie posunęło się od tamtych czasów zbyt daleko w poszukiwaniu nowych dróg, w rozwiązywaniu nowych problemów artystycznych. Jednakże dzięki swej olbrzymiej wiedzy malarskiej i wielkiej malarskiej kulturze — Cybis zajmuje poważną pozycję w plastyce polskiej, jego prace reprezentują poziom artystyczny wysokiej klasy.

„Olunia" olej

„Truskawki" olej

„Rzeczka Świder" akwarela

„Przy stole" olej

„Pejzaż z wronami" olej

ZWIERZYNIEC

O, Ogrodzie, Ogrodzie!
Gdzie żelazo — podobnie jak ojciec — przypomina braciom, że są braćmi, i zażegnuje krwawą utarczkę.
Gdzie Niemcy chodzą popijać piwo,
A ślicznotki sprzedawać ciało.
Gdzie orły siedzą niby wieczność, zakończona dzisiejszym, jeszcze pozbawionym wieczora dniem.
Gdzie wielbłąd zna tajemnicę buddyzmu i zatail krzywy uśmiech Chin.
Gdzie jeden — to tylko przestrach kwitnący szerokim kamieniem.
Gdzie wytworne stroje ludzi.
A Niemcy tryskają zdrowiem.
Gdzie czarne spojrzenie łabędzia (który cały jest podobny do zimy, a dziób: do jesiennego gaju) jest nieco za ostrożne dla niego samego.
Gdzie niebieski pieniś opuszcza w dół ogon, podobny do widzianej z Pawdzińskiego Kamienia Syberii, kiedy na złoto opadłych liści i na zieleń lasu rzucono niebieską sieć od obłoków, a wszystko to różnorako zaznaczone jest nierównościami gruntu.
Gdzie małpy w różny sposób złoszczą się i wypinają końce tułowia.
Gdzie słonie, strojąc grymasy, jak stroją grymasy góry w czasie trzęsienia ziemi, proszą dziecko o jedzenie, nadając pierwotny sens prawdzie: — jeść, houua! jeść chcemy! — i przysiadają, jakby prosiły o jałmużnę.
Gdzie niedźwiedzie zwinnie wdrapują się do góry i patrzą w dół w oczekiwaniu na rozkazy dozorcy.
Gdzie nietoperze zwisają niby serce współczesnego Rosjanina.
Gdzie pierś sokoła przypomina pierzaste chmury przed burzą.
Gdzie przyziemny ptak wlecze za sobą zachód ze wszystkimi głowniami jego pożaru.
Gdzie w obliczu tygrysa, okolonym białą brodą i z oczami podstarzałego muzułmanina, czcimy pierwszego mahometanina i czytamy właściwy sens Islamu.
Gdzie zaczynamy sądzić, że wiary — to cichnące strumienie woli, których rozpędem są gatunki.
I że na świecie dlatego tak wiele jest zwierząt, że w różny sposób umieją one widzieć Boga.
Gdzie zwierzęta, zmęczone ryczeniem, wstają i patrzą w niebo.
Gdzie foka, z nieustannym jękiem obiegająca klatkę, prawdziwie przypomina męczarnie grzeszników.
Gdzie śmieszne pingwiny troszczą się wzajem o siebie z czułostkowością staroświeckich ziemian Gogola.
Ogrodzie, Ogrodzie, gdzie spojrzenie zwierza więcej znaczy niż sterty przeczytanych ksiąg.
Ogrodzie.
Gdzie orzeł żali się na coś jak zmęczone żaleniem się dziecko.
Gdzie pies polarny trwoni syberyjski zapał, spełniając starodawny obrzęd rodowej nienawiści na widok myjącego się kota.
Gdzie kozły żebrzą, przesuwając przez kratę rozdwojone kopyto i kiwają nim z zadowoleniem albo wesołym wyrazem oczu, gdy otrzymują datek.
Gdzie wystrzał armatni w południe zmusza orły do patrzenia w niebo w oczekiwaniu burzy.
Gdzie orły spadają z wysokich grzęd jak bożyszcza w czasie trzęsienia ziemi ze świątyń i dachów budowli.
Gdzie kędzierzawy jak dziewczyna orzeł patrzy w niebo, a potem na własną łapę.
Gdzie widzimy drzewo-zwierzę w postaci nieruchomo stojącego jelenia.
Gdzie orzeł siedzi obróciwszy ku ludziom szyję i patrzy w ścianę, a skrzydła ma dziwacznie rozpostarte. Czy nie wydaje mu się, że szybuje wysoko ponad górami? A może się modli?
Gdzie łoś całuje poprzez zagrodę płaskorogiego bawołu.
Gdzie czarna foka skacze po podlodze, opierając się na długich płetwach, z ruchami człowieka zawiązanego w worku, i podobna jest do Itego z żelaza pomnika, który naraz odnalazł w sobie paroksyzmy nieopanowanej wesołości.
Gdzie kosmatowłosy „Iwanow" podrywa się i bije łapą w żelazo, kiedy dozorca nazywa go „kolegą".
Gdzie jelenie stukają rogami poprzez kratę.
Gdzie kaczki jednego gatunku wznoszą po krótkotrwałym deszczu jednogłośny krzyk, jak gdyby odprawiały dziękczynne modły do kaczego — czy posiada ono nogi i dziób? — bóstwa.
Gdzie popielato-srebrne perliczki udają niewiniątka.
Gdzie w malajskim niedźwiedziu nie chcę poznać mieszkańca północy i dostrzegam ukrywającego się mongoła.
Gdzie wilki wyrażają gotowość i oddanie.
Gdzie u wejścia do dusznego siedliska papug zostaję obrzucony jednogłośnym powitaniem: „diurreń!"
Gdzie gruby połyskliwy mors macha jak zmęczona piękna kobieta wachlarzowatą nogą, a potem skacze do wody, a kiedy wtacza się z powrotem na pomost, na jego tłustym obfitym tułowiu ukazuje się głowa Nietzschego z kłującą szczeciną i gładkim czołem.
Gdzie nosorożce nosi w białoczerwonych oczach niewygasłe szaleństwo zdetronizowanego króla i jedyny ze wszystkich zwierząt nie ukrywa pogardy dla ludzi, jako dla powstania niewolników. I w nim właśnie utail się Iwan Groźny.
Gdzie czajki z długim dziobem i zimnym, błękitnym, jak gdyby okolonym okularami okiem wyglądają jak międzynarodowi aferzyści, co znajduje potwierdzenie w sztuce, z jaką porywają rzucone fokom jadło.
Gdzie, gdy przypomnimy sobie, że Rosjanie nazywali swych wielkich wodzów imieniem sokoła, i gdy przypomnimy sobie, że oko kozaka i oko sokoła jest takie samo, zaczynamy rozumieć, jacy byli nauczyciele Rosjan w sztuce wojennej.
Gdzie słonie zapomniały swych okrzyków na trąbach i wywydają krzyk, jakby skarżyły się na rozprężenie. Być może, iż widząc nas nazbyt nędznymi, zaczynają uważać za dowód dobrego tonu wydawanie nędznych dźwięków? Nie wiem.
Gdzie w zwierzętach zatracają się jakieś wspaniałe możliwości, niby wpisane w brewiarz Słowo o pułku Igora.

przełożył Seweryn Pollak

* * *

Gdy umierają konie — dyszą,
Gdy umierają trawy — schną,
Gdy umierają słońca — gasną,
Gdy umierają ludzie — śpiewają pieśni.

* * *

Gdy rogi jelenia wznoszą się nad zielenią,
Wydają się wyschniętym drzewem.
Gdy serce do krwi obnaża się w słowach,
Powiadają: jest szalony.

przełożył Jan Śpiewak

IRAŃSKA PIOSENKA

Tam wzdłuż rzeczki wzdłuż Iranu,
Wzdłuż zielonych jego smug,
Wzdłuż głębokich jego strug,
W słodkiej pobliżu wody
Chodzi sobie dwóch cudaków,
Strzela sobie do szczupaków.
Wycelują rybie w łeb,
Stój, ptaszyno i na brzeg!
Chodzą sobie pogadują.
Prawda, pamięć mnie nie zwodzi.
Zupę warzą, pokosztują:
„Ech, to życie okrutnica!"
Samolot po niebie chodzi,
Zuch, obłoków pobrat miły.
Gdzież to chusta — latawica,
Samolotu wierna żona?
Przypadkowo się spóźniła,
Czy też w lochu uwięziona?
Bajkom z góry wierzyć wolę:
Dawne bajki faktem już,
Lecz gdy na mnie przyjdzie kolej,
Mięso się rozsypie w kurz.
Kiedy zaś sztandarów brzemię
Tłum przedźwignie ucieszony,
Czy się zbudzę, wdeptan w ziemię,
Trapiąc czerep zakurzony,
Czy też wszystkie swoje prawa
W piec przyszłości cisnę prosto?
Hej, poczerniej łąko, trawo,
Stań, kamienna rzeczko, siostro!

przełożył Józef Maśliński

STANISŁAW BRUCZ

„Obcy" Camus'a czyli kryzys pewnej cywilizacji

U podstaw wszelkiej kultury leży koncepcja człowieka. Inaczej mówiąc, wszelka kultura usiłuje odpowiedzieć na pytanie: czym jest człowiek? Dla średniowiecza człowiek był istotą wierzącą; dla Odrodzenia — istotą myślącą; dla epoki Oświecenia — istotą rozumującą; dla Kanta — siedliskiem imperatywu moralnego. Wiek dziewiętnasty, który był okresem przyśpieszonych procesów cywilizacyjnych, widział wiele następujących po sobie i częstokroć równoczesnych koncepcji człowieka: romantyzm, który nawiązywał do średniowiecza, pojmował człowieka jako istotę czującą; pozytywizm — jako istotę działającą. Szopenhauer i Nietzsche upatrywali w nim przede wszystkim wolę, Bergson — intuicję twórczą, Freud — libido. Nie wdając się w analizę poszczególnych koncepcji, powiedzmy że wszystkie one opierały się na postulacie wewnętrznej psychicznej jedni człowieka, wszystkie usiłowały osnuć jego jaźń wokoło jakiejś osi krystalizacyjnej Słowem, wszystkie one zakładają istnienie duszy, ale każda z nich umieszcza ją w innej strefie, na innym planie wewnętrznej struktury człowieka.

Na przełomie wieków — ubiegłego i bieżącego — zaczyna się to, co możnaby nazwać rozpadem monistycznej koncepcji człowieka. Już Bergson ukazuje nam psychiczne indywiduum jako płynną wielorakość, prąd energetyczny, nieuchwytny dla władz rozumu i rządzony jakimś bliżej nieokreślonym, irracjonalnym „porywem witalnym". W literaturze bergsonizm znajduje wyraz w psychologicznym impresjonizmie Prousta i Wirginii Woolf, dla których życie wewnętrzne osobowości jest tańczącym chaosem atomów psychicznych. Joyce i surrealiści pojmują świadomość jako miejsce przepływu wrażeń, doznań, sensacji i strzępków myśli. Freud, który tak znamienne piętno wycisnął na literaturze międzywojennego dwudziestolecia, sprowadza świadomość do wąskiego skrawka powierzchni na podziemnym świecie podświadomości, gdzie panuje nawskroś cielesny żywioł płci. Wreszcie w Ameryce rodzi się behawioryzm (od behaviur, zachowywać się, postępować), kierunek, który, zrywając całkowicie z zasadą autonomicznej świadomości, sprowadza wnętrze człowieka do zespołu procesów fizjologicznych i odruchów, dyktujących jego gesty, uczynki i słowa; według behawiorystów, człowiek to jego zachowanie się widziane od zewnątrz i nic więcej. Nie można się było posunąć dalej na drodze dezintegracji człowieka. Otóż behawioryzm właśnie zaważył na formacji intelektualnej pisarzy amerykańskich, którzy wystąpili po pierwszej wojnie światowej i obecnie osiągają pełnię rozwoju: mowa o Dos Passosie, Hemingway'u, Caldwellu, Steinbecku i Faulknerze.

Te bardzo niewątpliwie różne indywidualności pisarskie dadzą się jednak sprowadzić do wspólnego mianownika, jakim jest filozofia osobowości, abstrahująca od pojęcia „duszy", ujmująca człowieka jako szereg zewnętrznych reakcji na otaczającą go rzeczywistość; to, co w tym kontekście zastępuje świadomość, rozpada się na trzy pierwiastki, którymi są: refleks fzjologiczny, instynkt płciowy oraz myślowy szablon narzucony przez środowisko. Stąd — charakterystyczna dla nowej literatury amerykańskiej pogarda dla analizy psychologicznej, hołdowanie metodzie obiektywnej i dynamizm opisu postaci, która nigdy nie jest dana z góry jako zamknięty charakter i zorganizowana psychika, lecz staje się w naszych oczach, kształtowana przez zdarzenia, przypadki i opinie otoczenia.

Wpływ współczesnej powieści amerykańskiej na elitę literacką Francji sięga lat poprzedzających ostatnią wojnę. Już w połowie lat trzydziestych Steinbeck, Caldwell i zwłaszcza Faulkner, rozsławiony nad Sekwaną dzięki rewelacyjnej rozprawie J.-P. Sartre'a, stają się przedmiotem nie tylko podziwu, ale i dociekliwych badań pisarzy zgrupowanych wokoło N. R. F. Jednakże wpływ, na pozór czysto formalny, zawsze tkwi korzeniami w głębszym podłożu ideologicznym. W tym wypadku — filiacji amerykańsko - francuskich — podłożem ideologicznym jest wspólna idea człowieka, będąca produktem pewnego stadium rozkładu cywilizacji kapitalistycznej. „Obcy" jest przykładem tego, jak teza filozoficzna warunkuje i kształtuje formę, formę, która jest kunsztowną transpozycją amerykańskiej techniki powieściowej.

Mamy tu do czynienia z utworem, którego problematyka jest rozprowadzona w kompozycji i strukturze językowej tekstu. Zacznijmy od formy, aby idąc za jej wątkiem dotrzeć do treści i założeń filozoficznych książki. A zatem powieść jest ujęta w formę wyznań niejakiego Meursault'a, który odsłania ostatnią krytyczną fazę swego losu. Ale mówiąc „ja", zwierzając się bezpośrednio ze swych przeżyć, Meursault opisuje samego siebie tak, jak gdyby widział się od zewnątrz, jak gdyby oglądał samego siebie na ekranie, dokładnie tak jak mogłaby go opisać wszelka osoba postronna, słowem — tak jakby był obcy samemu sobie. Tu tkwi jedna z tajemnic tytułu „Obcy". Ukazując w sposób beznamiętnie obiektywny swe ruchy i czyny, Meursault nie grzebie się w kierujących nim motywach i pobudkach wewnętrznych. Nie mówi zatem: „pożądałem Marii", lecz: „miała na sobie ładną suknię w białe i czerwone pasy i skórzane sandały na nogach"; nie mówi: „odczułem chęć zastrzelenia Araba", lecz: „cyngiel ustąpił... oddałem jeszcze cztery strzały". Na pierwszy rzut oka to najdalej idące zastosowanie metody obiektywnej może się wydać jedynie paradoksalnym chwytem formalnym; ale ten chwyt ma głębokie uzasadnienie: Meursault nie obnaża zakamarków swej świadomości, ponieważ jej nie posiada. Jest to człowiek bez duszy, bez t.zw. „foro interno", psychiczna pustka manewrowana przez rzeczywistość zewnętrzną, czarny ekran, na którym zjawiska i wypadki wypisują znaki nie powiązane żadną logiczną więzią i w swej absurdalnej sukcesji tworzące ludzki los. Życie subjektywne Meursault'a to „republika refleksów": na pogrzebie swej matki nie czuje ani bólu ani smutku, lecz doznaje jedynie sensacji fizycznych, takich jak gorąco i zmęczenie; nazajutrz po pogrzebie udaje się na plażę, spotyka się z kobietą, idzie z nią do kina i później zabiera ją do domu; na pytanie Marii, czy ją kocha, Meursault odpowiada dziewczynie, z którą łączą go stosunki seksualne, że nie — gdyż jest niezdolny do odczuwania czegokolwiekbądź. W historii z Rajmundem zachowuje się z biernością mięczaka, nie jest bowiem w stanie uświadomić sobie związków zachodzących między otaczającą go rzeczywistością i jego własną egzystencją. Zabójstwo Araba, moment zwrotny w życiu Meursault'a, jest odruchem fizykalnym, wywołanym obsesją słońca. Wszystko co mu się przytrafia jest nieprzewidziane i nieprzewidzialne, stąd — swoisty styl spowiedzi Meursault'a, ów szyk zdań, z których niemal żadne nie zapowiada następnego, a ustawione w szereg stanowią jakby ciąg łańcuchowych wybuchów.

Meursault jest ślepym atomem, wszystkie jego ruchy są dyktowane bezsensowną dynamiką wielkiego zbiorowiska atomów, jaką jest masa ludzka. Poprzez jego nicość wewnętrzną Camus chce nam ukazać naszą własną nicość, odartą z mitologii psychologicznej i konwencji moralnej, tych szat konfekcyjnych, w jakie społeczeństwo usiłuje przyodziać człowieka. Symbolem społeczeństwa jest w książce sąd: rozprawa sądowa stanowi próbę zapełnienia pustki Meursault'a jakimś schematem psychicznym, powiązanie jego czynów jakimś wątkiem logicznej przyczynowości, naświetlenia jego mroku jakąś normą moralną. Próba daremna: z wyobrażeń, jakie mają o nim inni ludzie — świadkowie, prokurator, adwokat — sąd buduje fikcyjny obraz Meursault'a, z którym rzeczywisty Meursault nie ma nic wspólnego. I tu dotykamy drugiej tajemnicy tytułu „Obcy": człowiek jest obcy w świecie sądów i opinii, jakie mają o nim inni.

Staraliśmy się dotąd oświetlić intencję Camus'a, ukazać jego koncepcję człowieka w całej jej beznadziejnej, straszliwej nagości. Niewątpliwie, „Obcy" zawiera pewną prawdę, ale prawdę niepełną i specyficzną; wspierająca go idea człowieka obnaża pewien aspekt kryzysu cywilizacji, ale cywilizacji określonej, związanej z konkretną sytuacją historyczną i społeczną. Musimy spojrzeć na powieść Camus'a jako na fakt społeczny i wysnuć z niej sens znamienny dla danej epoki i danej klasy.

Camus usiłuje przedstawić nam Meursault'a jako typ uniwersalny i ogólnoludzki, ilustrujący „dolę człowieczą" niezależnie od warunkowości społecznych i historycznych. W tym celu izoluje go, wydziera go ze społecznego tła, wyłącza z wszelkiej formacji zbiorowej, z wszelkiego środowiska: jego kontakty z ludźmi — to przypadkowe zderzenia atomów. Wiemy, że pracuje jako biuralista w firmie przewozowej, ale wiemy również, że nie ma żadnego zainteresowania dla swej pracy ani żadnych z pracą związanych ambicji. Domyślamy się mgliście, że pochodzi z drobnomieszczaństwa. Akcja powieści dzieje się w czasie nieokreślonym — równie dobrze mogłaby się dziać dzisiaj, jak i trzydzieści lat temu; miejscem akcji jest Algier, ale równie dobrze mogłoby to być każde inne miasto francuskie, niemieckie, angielskie lub amerykańskie. Meursault jest abstrakcją, starannie odklarowaną z treści psychicznej, odartą z konkretnych cech społecznych, abstrakcją mającą służyć do zilustrowania tezy filozoficznej o człowieku w ogóle. Jak wielu pisarzy jego pokolenia, Camus żyje pod sugestią „doli człowieczej", konceptu o zapaszku metafizycznym, który podsuwa człowiekowi jakiś los absolutny, oderwany od warunków socjalnych i czasowych. Otóż tak pojęta dola człowiecza jest mitem, który rozsypuje się w proch pod ciosami krytyki socjologicznej.

W istocie, Meursault jest wytworem ustroju kapitalistycznego i jego elementów: mechanistycznego racjonalizmu, ekonomicznego liberalizmu, atomistycznej konstrukcji społeczeństwa, anarchii burżuazyjno-przemysłowej. Meursault, robot wykonujący w swym biurze jakąś mechaniczną czynność; Meursaul, jednostka aspołeczna i amoralna (bo moralność jest zawsze funkcją świadomości społecznej); Meursault odczłowieczony, sprowadzony do zlepka popędów fizjologicznych — taki Meursault to krańcowy wzór człowieka w ujęciu kapitalistycznym, przykład tego jak system dehumanizuje osobowość, jak ją degraduje do rzędu biologicznych drobnoustrojów. Człowiek pojmowany nie jako cel, lecz jako środek; wyzbyty świadomości, a więc tym samym świadomości społecznej, klasowej, grupowej; absolutnie bierny, całkowicie rozporządzalny, dający się ugniatać faktom i zjawiskom, nie pragnący zmian w realności zewnętrznej i, co za tym idzie, we własnym losie, bo pozbawiony poczucia istniejących między nimi związków — toż to ideał człowieka ze stanowiska kapitalizmu i taki jest Meursault. Rację ma prokurator, gdy mówi: „...pustka serca, jaka odsłania się w tym człowieku, staje się przepaścią, w której zginie społeczeństwo". Ale ta racja jest obłudna: prokurator nie chce widzieć, że Meursault jest taki, jakim go to społeczeństwo uczyniło, że jego pustka wewnętrzna jest przepaścią, którą społeczeństwo burżuazyjne samo sobie wykopało. Miliony Meursault'ów chodzą po ulicach Londynu, Paryża, Nowego Yorku i tysięcy miast objętych cywilizacją kapitalistyczną. Miliony niemieckich Meursault'ów użyte zostały do budowy machiny faszystowskiej, tego ratunkowego narzędzia kapitalizmu. Setki tysięcy Meursault'ów zapełniły bataliony S. S. i wewnętrzna ich nicość wyzierała ku nam poprzez czarną pustkę ich oczu. W perspektywie tej próżni odsłania nam się jedna z dróg, które przywiodły do barbarzyństwa faszyzmu i wojny.

Meursault jest niewątpliwie typem (nie możemy odmówić Camus'owi mistrzostwa syntezy), ale typem człowieka w ustroju kapitalistycznym. Camus'owska filozofia osobowości jest produktem gnicia i równocześnie instrumentem zemsty kapitalizmu: skazany na śmierć, pragnie pociągnąć za sobą w niebyt człowieka, burząc jego wewnętrzną jedność psychiczną, autonomię jego świadomości. Dla nas Meursault powinien być ostrzeżeniem jako skrajny objaw kapitalistycznego antyhumanizmu. Tej koncepcji człowieka powinniśmy przeciwstawić jedynie dzisiaj ważną, jedynie realną — **koncepcję człowieka społecznego. W społeczeństwie socjalistycznym** rozumna i twórcza praca *jest tym* elementem, który, wypełniając świadomość ludzką, realizuje ją jako jej czynnik kostytutywny. Praca transcenduje świadomość — będąc bowiem funkcją społeczną (praca jest zawsze dla innych, dla kogoś, dla czegoś, co znajduje się poza człowiekiem), jest równocześnie najpełniejszą realizacją indywidualnych możliwości jednostki. W idei pracy znajduje rozwiązanie antynomia: jednostka - społeczeństwo. Otóż zarówno w „Obcym" Camus'a, jak i w bliskiej mu powieści egzystencjalistycznej, jak i w twórczości Dostojewskiego i Kafki (tych egzystencjalistycznych świętych), idea pracy jest nieobecna. Nic dziwnego — jako idea społeczna nie mieści się w metafizycznej „doli człowieczej".

* * *

Padło słowo egzystencjalizm: „Nie miejsce tu na głębsze rozważenie koneksji Camus'a z doktryną Heideggera i Sartre'a — zresztą autor „Obcego" niejednokrotnie wypierał się tych koneksji. Niemniej jednak stwierdzić trzeba, że łączy ich — Camus'a i egzystencjalistów — wiele punktów stycznych. Przede wszystkim więc egzystencjalizm jest filozofią osobowości, a przecież pogląd na człowieka jest podbudową „Obcego". Łączy ich negacja zorganizowanej psychiki, dialektyka absurdu i rozpaczy („jest absurdem, żeśmy się urodzili, jest absurdem, że umrzemy", „historia wszelkiego życia jest historią krachu" — Sartre), postulat obcości człowieka w świecie wyobrażeń o nim innych ludzi („piekło to są inni" — Sartre), dowolność (autodeterminacja) czynów ludzkich i sartre'owska interpretacja wolności.

Zresztą, jak bardzo egzystencjaliści zdają sobie sprawę z rozkładowego charakteru ich literatury, świadczy o tym następujący ustęp z ostatniej pracy Sartre'a („Qu'es-ce que la littérature?"):

„Bez trudu przystaję na marksistowską interpretację niepokoju „egzystencjalnego" jako zjawiska pewnej epoki i klasy. Egzystencjalizm, pod swą postacią współczesną, wyrasta na gruncie rozkładu burżuazji i pochodzenie jego jest burżuazyjne. Ale że ten rozkład może odsłonić pewne aspekty doli człowieczej i uczynić możliwymi pewne intuicje metafizyczne, to nie znaczy by te intuicje i te odsłonięcia były złudzeniami świadomości burżuazyjnej albo mitycznymi przebraniami sytuacji".

Cenne wyznanie — zwłaszcza pierwsza jego część, w której Sartre uznaje rozkładowy charakter egzystencjalizmu. Co się tyczy „doli człowieczej" i „intuicji metafizycznych", są to nie tyle złudzenia i mity, ile akty dywersji burżuazyjnej. Podobnie, książka Camus'a jest dla nas o tyle cenna, o ile jawi się jako fenomen pewnej epoki i klasy oraz jako nieubłagana w swej klinicznej surowości demonstracja rozkładu cywilizacji kapitalistycznej.

Stanisław Brucz

PAWEŁ HERTZ

DRWINY Z RENTIERA

To nic, że w poczekalni tej podmiejskiej stacji
siedzisz nad kuflem piwa. Wracasz z emigracji,
gdzie tylko konstelacja o tobie pamięta,
ale podwójnie — to były Bliźnięta.
Szukałeś wtedy Wagi, Wozu, albo Ryby
na białym niebie, niestrasznym jak Sybir.
Zostało tam po tobie niewiele — siekiera,
cynowy kubek, nara. Twój ojciec umierał,
patrząc w niestraszne niebo. A twój syn się rodził
Tak natura obwieszcza, że byliśmy młodzi.
Twój syn nie będzie tęsknił. Wysuszy cierpliwie
obrosłe brzózką tajgi, zaparzy igliwie,
fajkę nabije trawą. Całe życie,
które ty przespać chciałeś lub przemarzyć skrycie
w wielkich miastach, gdzie rzeki kamień brzegów gładzą,
nie tęskniąc za robotą, za chlebem, za władzą,
leży przed nim jak Sybir niestraszny. Ty nawet
gdy potrącasz o cegły rozbite, o lawet
żelastwo zgięte, nie pragniesz niczego,
tylko spokoju, ciszy, zapomnienia,
umarłej gwiazdy, gdzie się nic nie zmienia,
gdzie wszystko trwa skruszone, rozbite, pogięte,
oniemiałe, jak rentier, który stracił rentę
i umiera powoli, szczęśliwy, że razem
ginie ze swoją książką, muzyką, obrazem,
z rzeką, która wysycha, ze świecą, co gaśnie
w ruinach małej stacji, gdzie rozmyślasz właśnie.
Nie staraj się wspominać urody twych krajów,
podróży, tkliwych spotkań, czułych obyczajów.
Czas jak woźny muzeum już zamknął na klucze
stare piękności świata. Jeśli chcesz, nauczę
cię jak zapomnieć. W mieście, dokąd wracasz,
krew tylko się różowi, a róża się wyzłaca
I nawet numer telefonu trzema
cyframi mówi, że cię tutaj nie ma.
Co nam zdrady! Jest u nas brzoza biała niby
dawna kolumna, o poranku szyby
ocalałe zachodzą purpurą, jak w odzie,
o której zapomniałeś w syberyjskim chłodzie.
Gwiazda pamięta cienie, trawy, bieg tej wody,
te brzóz kilka... I oto zbliża się godzina,
gdy piosenka sprzed wieku smutnie przypomina
spóźnionym repatriantom martwy czas urody.
Słychać parskanie koni, rzewny brzęk podkowy.
Jedzie poczta. Bicz klaszcze. Odjeżdżasz w swój wiek.
Dotykam twojej skroni. Nie, to nie jest śnieg,
To pierwsze włosy siwe dla umarłej głowy.

ALBERT CAMUS

przekład Marii Zenowicz

O B C Y *)

SĄ RZECZY, o których nigdy nie lubiłem mówić. Kiedy dostałem się do więzienia, zrozumiałem po po paru dniach, że nie będę lubił mówić o tym okresie mojego życia.

Później przestałem przywiązywać wagę do takich oporów. W pierwszych dniach właściwie nie byłem w więzieniu: oczekiwałem niejasno jakiegoś nowego wydarzenia. Wszystko zaczęło się dopiero po pierwszej i jedynej wizycie Marii. Od dnia, gdy otrzymałem jej list, od tego dnia poczułem, że w mojej celi jestem u siebie i że moje życie tutaj się zatrzymało. W dniu mojego aresztowania zamknięto mnie najpierw w izbie, w której było już wielu więźniów, przeważnie Arabów. Na mój widok zaczęli się śmiać. Następnie spytali, co zrobiłem. Powiedziałem, że zabiłem Araba. Umilkli. Ale w chwilę potem zapadł wieczór. Objaśnili mi, jak trzeba ułożyć matę, na której miałem spać. Zwijając jeden jej koniec, można było zrobić wezgłowie. Całą noc pluskwy chodziły mi po twarzy. W parę dni później odizolowano mnie i umieszczono w celi, w której spałem na gołych deskach. Miałem tam klozetowe wiadro i żelazną miednicę. Więzienie znajdowało się w górze miasta i przez okienko mogłem widzieć morze. Pewnego dnia, gdy stałem uczepiony krat, z twarzą zwróconą ku światłu, wszedł strażnik i powiedział, że ktoś chce mnie odwiedzić. Pomyślałem, że przyszła Maria. Rzeczywiście to była ona.

Idąc do rozmównicy, minąłem długi korytarz, potem schody i na koniec jeszcze jeden korytarz. Wszedłem do dużej sali oświetlonej przez szerokie okno. Salę tę przecinały wzdłuż dwie wysokie kraty, dzieląc ją na trzy części. Między dwiema kratami pozostawiono przestrzeń ośmiu do dziesięciu metrów, aby odgrodzić odwiedzających od więźniów. Spostrzegłem nawprost mnie Marię, miała opaloną twarz i była w sukience w paski. Obok mnie znajdowało się tu z dziesięciu więźniów, przeważnie Arabów. Marię otaczały Maurytanki, stała między dwiema odwiedzającymi — małą, czarno ubraną staruszką o zaciśniętych ustach i grubą kobietą z odkrytą głową, która mówiła coś bardzo głośno, żywo gestykulując. Z powodu odległości między kratami, odwiedzający i więźniowie musieli prawie krzyczeć. Gdy wszedłem, zgiełk głosów, rozbrzmiewający wśród wielkich nagich murów, i światło, które spływało z nieba po szybach, wlewając się do sali, wszystko to przyprawiło mnie o rodzaj zawrotu głowy. Moja cela była cichsza i ciemniejsza. Dopiero po kilku sekundach oswoiłem się z tym. W końcu jednak widziałem każdą twarz rysującą się wyraźnie w pełnym świetle. Spostrzegłem, iż na skraju korytarza, między dwiema kratami, siedział strażnik. Większość więźniów Arabów, podobnie jak ich rodziny, przykucnęła na wprost siebie. Ci nie krzyczeli. Mimo wrzawy, udawało im się porozumieć cichym głosem. Ich głuchy szept, dobywający się z dołu, był jakby nieustannym akompaniamentem dla rozmów, krzyżujących się ponad ich głowami. Dostrzegłem to wszystko bardzo szybko i skierowałem się w stronę Marii. Stała z głową przyciśniętą do krat, śmiejąc się do mnie całą twarzą. Wydała mi się bardzo piękna, ale nie umiałem jej tego powiedzieć.

— „No? — powiedziała bardzo głośno — Czujesz się dobrze. Masz wszystko czego ci potrzeba.". — „Tak wszystko".

Umilkliśmy, a Maria ciągle się uśmiechała. Gruba kobieta wrzeszczała coś do mego sąsiada, prawdopodobnie męża, rosłego faceta o jasnych włosach i otwartym spojrzeniu. Był to dalszy ciąg uprzednio rozpoczętej rozmowy.

„Janka nie chce go wziąć" — krzyczała na całe gardło. — „Tak, tak" — mówił mężczyzna. „Powiedziałam jej, że ty go odbierzesz, po wyjściu, ale ona nie chce go wziąć".

Maria ze swej strony krzyczała, że Rajmund przesyła mi pozdrowienia: odpowiedziałem: „Dziękuję". Ale zagłuszył mnie sąsiad, który pytał: „Czy on czuje się dobrze". Jego żona roześmiała się mówiąc: „Nigdy nie czuł się lepiej". Mój sąsiad z lewej, niski młody człowiek o delikatnych rękach, nic nie mówił. Zauważyłem, że stał naprzeciw małej staruszki i że oboje usilnie wpatrywali się w siebie. Ale nie miałem czasu obserwować ich dłużej, ponieważ Maria krzyknęła, że trzeba mieć nadzieję. Powiedziałem: „Tak". Jednocześnie patrzyłem na nią i miałem ochotę uścisnąć, poprzez suknię, jej ramiona. Miałem ochotę dotknąć tej cienkiej tkaniny i niezbyt dobrze wiedziałem, na co mógłbym mieć nadzieję ponad to. A jednak Maria właśnie to chciała mi powiedzieć, bo uśmiechała się nadal. Nie widziałem już nic, poza blaskiem jej zębów i małymi fałdkami koło powiek. Krzyknęła znowu: „Wyjdziesz i pobierzemy się!" Odpowiedziałem: „Tak myślisz?" — ale głównie dlatego, żeby coś powiedzieć. Wtedy bardzo szybko i wciąż bardzo głośno powiedziała, że tak, że będę uniewinniony i że będziemy się jeszcze razem kąpać. Ale obok jakaś kobieta wrzeszczała, że zostawiła koszyk w kancelarii. Wyliczała wszystko, co tam włożyła. Chciała, żeby to sprawdzić, bo wszystko kosztowało drogo. Mój drugi sąsiad i jego matka ciągle patrzyli na siebie. W dole nie ustawał szept Arabów. Światło zdawało się napierać od zewnątrz na okna. Płynęło po wszystkich twarzach, jak młody sok.

Czułem się nieco chory i miałem chęć odejść. Męczył mnie hałas. Ale z drugiej strony chciałem jeszcze korzystać z obecności Marii. Nie wiem ile znowu minęło czasu, Maria mówiła mi o swojej pracy i uśmiechała się bez przerwy. Szepty, krzyki, rozmowy krzyżowały się z sobą. Ten niski młody człowiek obok mnie i ta staruszka, wpatrzeni w siebie, stanowili jedyną wysepkę ciszy. Zaczęto po trochu wyprowadzać Arabów. Prawie wszyscy umilkli, gdy pierwszy wyszedł. Mała staruszka zbliżyła się do krat, a w tej samej chwili strażnik dał znak jej synowi, który powiedział: „Dowidzenia, mamo", a ona wsunęła rękę między dwie kraty i pożegnała go długim powolnym skinieniem.

Kiedy odeszła, jakiś mężczyzna z kapeluszem w ręku wszedł i zajął jej miejsce. Przyprowadzono więźnia; zaczęli rozmawiać ze sobą z ożywieniem, ale półgłosem, gdyż w sali znów zapanowała cisza. Wywołano również mojego sąsiada po prawej, a jego żona jakby nie widząc, że już nie trzeba krzyczeć, powiedziała tak samo głośno, jak przed tym: „Dbaj o siebie i bądź uważny". Potem przyszła kolej na mnie. Maria przesłała mi pocałunek. Przed wyjściem odwróciłem się raz jeszcze. Stała nieruchomo, z twarzą przyciśniętą do kraty i z tym samym kurczowym uśmiechem.

Niedługo potem napisała do mnie. I to od tego czasu zaczęły się sprawy, o których nigdy nie lubiłem mówić. W każdym razie, nigdy nie trzeba przesadzać; przychodziło mi to łatwiej niż innym. W początkach mego uwięzienia najcięższe było wszakże to, że miałem myśli wolnego człowieka. Na przykład: brała mnie ochota, żeby znaleźć się na plaży i powoli wchodzić do wody. Wyobrażając sobie szum pierwszych fal pod stopami i ulgę jaką mi sprawiało zanurzanie ciała w wodzie, czułem nagle jak bardzo ciasne były mury więzienia. Ale to trwało zaledwie kilka miesięcy. W końcu miałem tylko myśli więźnia. Oczekiwałem codziennego spaceru, który odbywałem na dziedzińcu, albo wizyty mojego obrońcy.

Resztę czasu zorganizowałem sobie bardzo dobrze. Często myślałem wówczas, że gdyby zmuszono mnie do życia w pniu uschłego drzewa, gdzie jedynym zajęciem byłoby oglądanie korony nieba ponad moją głową, z czasem przyzwyczaiłbym się do tego. Czekałbym na przelot ptaków lub chmur, tak jak tutaj czekałem na dziwaczne krawaty mego obrońcy, lub jak dawniej, w tamtym świecie, cierpliwie wyczekiwałem soboty, aby obejmować ciało Marii. A przecież, gdyby się głębiej zastanowić, nie żyłem w uschłym drzewie. Byli nieszczęśliwsi ode mnie. W końcu człowiek przyzwyczaja się do wszystkiego — była to dewiza mamy, którą często powtarzała.

Zresztą, zazwyczaj nie posuwałem się w myślach tak daleko. Pierwsze miesiące były ciężkie. Ale właśnie wysiłek, którego musiałem dokonać, pomógł mi je przeżyć. Na przykład: dręczyło mnie pragnienie kobiety. To zrozumiałe, byłem młody. Nie myślałem specjalnie o Marii. Ale tyle myślałem o kobiecie, o kobietach, o wszystkich które znałem, o wszystkich okolicznościach, w których je kochałem, że moja cela zapełniła się ich twarzami i zaludniła się od moich pragnień. Z jednej strony wytrącało mnie to z równowagi, lecz z drugiej zabijało czas. Na koniec zaskarbiłem sobie sympatię kierownika straży więziennej który w godzinach posiłku towarzyszył chłopcu z kuchni. On pierwszy zaczął mi mówić o kobietach. Powiedział, że to jest pierwsza rzecz, na którą skarżą się inni. Powiedziałem, że ze mną jest tak samo i że uważam takie traktowanie za niesprawiedliwe. „Ależ właśnie po to wsadzają pana do więzienia". — Jakto po to? — No tak, wolność to właśnie to. Pozbawiają pana wolności". Nigdy nie myślałem o tym. Uznałem, że ma rację. „To prawda, powiedziałem, gdzież byłaby kara? — Tak, pan rozumie te sprawy. Inni nie. Ale w końcu potrafią ułożyć sobie sami". Potem strażnik odszedł. Następnego dnia zrobiłem tak jak inni.

Była też sprawa papierosów. Kiedy dostałem się do więzienia, odebrano mi pasek, sznurowadła od butów, krawat i wszystko, co miałem w kieszeniach, przede wszystkim papierosy. Pewnego razu zażądałem w celi, żeby mi je zwrócono. Ale odpowiedziano mi, że to jest zabronione. Pierwsze dni były bardzo ciężkie. Być może, że to właśnie najbardziej mnie przygnębiało. Ssałem kawałek drzewa, który oderwałem od deski mego łóżka. Chodziłem przez cały dzień z nieustannymi mdłościami. Nie pojmowałem, dlaczego pozbawiono mnie rzeczy, która nie szkodziła nikomu. Później zrozumiałem, że to również stanowiło część kary. Ale równocześnie odzwyczaiłem się od palenia, i kara ta nie była już dla mnie karą. Pominąwszy te przykrości — nie czułem się bardzo nieszczęśliwy. Cała sprawa polegała na zabijaniu czasu. Wreszcie, od chwili, gdy nauczyłem się wspominać, nie nudziłem się już wcale.

Z początku odbywało się to szybko. Ale za każdym razem, gdy rozpoczynałem na nowo, trwało nieco dłużej. Przypominałem sobie każdy mebel, a na każdym z nich każdy stojący tam przedmiot, i znowu osobno wszystkie szczegóły tego przedmiotu, każde pęknięcie, inkrustacje, wyszczerbiony brzeg, kolor lub chropowatość powierzchni. W tym samym czasie usiłowałem zrobić całkowite rozliczenie mego inwentarza, nie pomijając nic w jego całości. Tak, że po kilku tygodniach mogłem spędzać godziny tylko na rozpamiętywaniu tego, co było w moim pokoju. W ten sposób, im bardziej się w to zagłębiałem, tym więcej znajdowałem w mojej pamięci rzeczy nieznanych lub zapomnianych. Zrozumiałem wówczas, że człowiek, który przeżył tylko jeden dzień na wolności, może bez trudu przeżyć sto lat w więzieniu. Było dość wspomnień, aby się nie nudzić. W pewnym sensie, stanowiło to korzyść.

Był również sen. Z początku spałem źle w nocy i zupełnie nie mogłem spać w dzień. Stopniowo noce stawały się lepsze i mogłem sypiać również za dnia. W ostatnich miesiącach spałem po szesnaście, osiemnaście godzin dziennie. Zostawało mi więc do zabicia sześć godzin wraz z posiłkiem, potrzebami naturalnymi, wspomnieniami i historię z Czechem.

Między siennikiem a deską łóżka znalazłem bowiem stary kawałek gazety, prawie przylepiony do drzewa, pożółkły i przezroczysty. Była tam wiadomość z kroniki drobnych wypadków — początek jej brakował — o zdarzeniu, które zapewne miało miejsce w Czechosłowacji. Z czeskiej wioski wyemigrował jakiś człowiek w poszukiwaniu majątku. Po upływie dwudziestu pięciu lat, już bogaty, powrócił z żoną i dzieckiem. Jego matka wraz z jego siostrą miały zajazd w rodzinnej wsi. Żeby im sprawić niespodziankę, zostawił żonę z dzieckiem w innym zabudowaniu i udał się do swojej matki, która gdy wszedł nie poznała go. Dla żartów wpadł na pomysł wynajęcia pokoju. Pokazał swoje pieniądze. W nocy matka i siostry zabiły go młotem, okradły, a ciało wrzuciły do rzeki. Rano przyszła żona i nie wiedząc o niczem powiedziała kim był podróżny. Matka się powiesiła, siostra rzuciła do studni. Mogłem tysiące razy czytać tę opowieść. Z jednej strony była nieprawdopodobna, z drugiej zrozumiała. W każdym razie uznałem, że podróżny był trochę winien, i że nigdy nie trzeba udawać.

W ten sposób wraz z godzinami snu, wspomnieniami, odczytywaniem opisu tego dziwnego zdarzenia, przemianą światła w mrok — mijał czas. Słyszałem często, że w końcu w więzieniu gubi się rachubę czasu. Ale to nie miało dla mnie wiele treści. Nigdybym nie mógł zrozumieć, do jakiego stopnia dnie mogą być jednocześnie długie i krótkie. Długie, oczywiście, jeśli trzeba je przeżyć, ale tak rozciągłe, że w końcu jeden zachodził na drugi. Słowa wczoraj lub jutro były jedynymi, które zachowały dla mnie swój sens.

Kiedy strażnik pewnego ranka powiedział, że jestem tu od pięciu miesięcy, uwierzyłem mu, ale nie rozumiałem tego. Dla mnie wciąż ten sam dzień przetaczał się w mojej celi, i to samo zagadnienie, które usiłowałem rozwiązać. Po wyjściu strażnika przejrzałem się w żelaznej miednicy. Wydało mi się, że moje odbicie pozostaje poważne nawet wówczas, gdy staram się do niego uśmiechać. Poruszyłem miskę. Uśmiechnąłem się, lecz ono zachowało ten sam surowy, smutny wyraz. Dzień dobiegał końca, była to godzina, o której nie chcę mówić, godzina bez nazwy, gdy na wszystkich piętrach więzienia odgłosy wieczoru wstępowały jakby w wielki pochód ciszy. Zbliżyłem się do okienka i w ostatnim blasku dnia przypatrzyłem się swemu odbiciu. Było ciągle poważne, i nic dziwnego, gdyż w tej chwili ja również byłem poważny. Ale równocześnie po raz pierwszy od długich miesięcy usłyszałem wyraźnie dźwięk mojego głosu. Poznałem, że jest to ten sam, który od długich dni dźwięczał w moich uszach i zrozumiałem, że przez cały ten czas mówiłem do siebie. Przypomniałem sobie wówczas co opowiadała pielęgniarka na pogrzebie mamy. Nie, nie ma wyjścia. I nikt nie może sobie wyobrazić, czym są wieczory w więzieniu.

Albert Camus

przekład **Marii Zenowicz**

---

*) Fragment powieści Alberta Camusa, która wkrótce ukaże się nakładem Sp. Wyd. „Czytelnik".

Kazimierz Brandys otrzymał nagrodę literacką m. st. Warszawy na rok 1948 za książkę „Miasto Niepokonane"

STEFAN ŻÓŁKIEWSKI

Klasyczne dzieło realizmu socjalistycznego *)

M. Gorkij

IDEALISTYCZNA filozofia i pedagogika wiele zalecała sposobów wewnętrznego doskonalenia się, sposobów indywidualnego osiągania pełni człowieczeństwa. Miały one jedną złą stronę, pomyślane były tak, by nie naruszały ram systemu społecznego, w którym jednostka miała się „rozwijać" i „doskonalić". A właśnie cechą strukturalną tego systemu klasowego był ucisk człowieka, postawienie nieprzekraczalnych granic jego rozwoju osobistego. To też nie wierzę w sposoby zalecane przez idealistyczną filozofię i pedagogikę.

Sądzę natomiast, że osobisty awans kulturalny, osiągnięcie pełni człowieczeństwa jest funkcją aktywizacji społecznej tejże jednostki. Gdyby wszyscy nasi chłopi — jak powiedział mój przyjaciel - polityk — byli czynnymi członkami organizacji politycznych lub społecznych inspirowanych politycznie odrazu wyglądałby inaczej poziom kulturalny naszej wsi, inny zjawił by się, bardziej w pełni ludzki, humanistyczny styl życia.

Wspaniałe uzasadnienie tej tezy znajdujemy w „Matce" Gorkiego. Powieść ta powstała bezpośrednio po rewolucji 1905 r. Jest próbą przemyślenia na gorąco doświadczeń klasy robotniczej osiągniętych w walce rewolucyjnej tych lat.

„Matka" to dzieje starej robotnicy. Nędza i ciągła praca, nieludzkie traktowanie przez męża-pijaka, życie bez radości zabiło w niej człowieka. Swoich przeżyć młodości nie pamięta. Wszystko z niej wybił mąż w ciągu dwudziestu lat poniewierki, przysypała pyłem fabrycznym praca. Po śmierci męża kobieta zostaje sama z dorosłym synem — robotnikiem. Ten — wystylizowany świadomie przez autora na symbolicznego nieco pozytywnego bohatera — wiąże się pracą rewolucyjną z nielegalną organizacją polityczną. I stara matka powoli wchodzi w to nowe środowisko. Styka się po raz pierwszy z uczuciami społecznymi, ze światem myśli, dążeń obejmujących szersze horyzonty. Konieczność roboty rewolucyjnej, jedno, drugie aresztowanie syna to wszystko w sposób naturalny wciąga ją do pracy społecznej. Stara kobieta rozkwita wewnętrznie, dorasta do trudnych sytuacji psychologicznych, do poświęceń, do rozumienia ludzi, współczucia ich skomplikowanym przeżyciom. Gdy wpada w ręce żandarmów w końcowej scenie powieści — jest to już inny prawdziwy, pełny, świadomy człowiek o bogatym życiu wewnętrznym, prawdziwej moralności, dużym zasobie idej i sądów o sprawach ważnych i ogólnych, zdolny do walki o lepszy świat i walczący, człowiek, którego zdolność odczuwania mówi o rzeczywistej kulturze i pełni osobowości, jak zwykli mówić zwolennicy doskonalenia się wewnetrznego.

Radzieccy historycy literatury zgodnie uważają „Matkę" za prekursorskie arcydzieło stylu nazywanego realizmem socjalistycznym. Chociaż prawdą jest, iż pełny rozkwit tego stylu jest możliwy tylko w społeczeństwie socjalistycznym, to jednak jego prehistorię można studiować właśnie na przykładzie „Matki".

Lenin już bezpośrednio po ukazaniu się tej książki docenił jej znaczenie. Wspomina o tym Gorki w swoich zapiskach opowiadając o pierwszym osobistym zetknięciu się z Leninem na zjeździe partii w Londynie.

Właściwa pochwałą Lenina pod adresem książki był zwrot „to książka potrzebna, na czasie". Ponieważ ona, wyjaśniał dalej Lenin, robotnikom, którzy przeżyli rewolucję, którzy uczestniczyli w boju, pomaga uświadomić sobie znaczenie tych doświadczeń, ich sens ludzki i historyczny.

Pisząc do Gorkiego w 1909 — Lenin podkreślił:

„Swoim talentem artysty przynieśliście ruchowi robotniczemu Rosji — a i nie tylko Rosji — tak wielką pomoc..." (XIV. 189).

Niemniej „Matka" Gorkiego budziła zastrzeżenia krytyczne z artystycznego punktu widzenia. Formułował je także Jerzy Plechanow, znakomity myśliciel marksistowski przełomu XIX i XX wieku szczególnie interesujący się estetyką. Coś w tych uwagach musiało być trafnego. W 1907 roku bowiem Gorkij opracował drugą redakcję swej powieści.

Myślę jednak, że właśnie przy omawianiu „Matki" trzeba postawić jasno ciągle aktualny problem kryteriów estetycznych.

Sądzę, że trafną jest formuła Wawrzyńca Casanova wypowiedziana na ostatnim zjeździe Francuskiej Partii Komunistycznej, że źródłem wartości, a więc i źródłem pośrednim wszelkich uzasadnionych systemów wartości jest zawsze ruch masowy. Ruch masowy stanowi granice między pięknem a brzydotą. Ruch masowy stawia przed sztuką zadania. Sposób ich realizacji decyduje o wartości wewnątrz stylu stosunek do nich o stylu.

Już dawno pisał Lenin, iż w społeczeństwie klasowym nie mamy do czynienia z jednolitą kulturą. Jest ona klasowo zróżnicowana. Żyją i rozwijają się na jednym obszarze narodowym różne nurty kulturalne. Z ważnych zwykliśmy byli przeciwstawiać burżuazyjny proletariackiemu. Jeśli można słusznie mówić o różnych kulturach, trzeba mówić i o różnych współistniejących estetykach. Estetyka mieszczańska żyje tradycją zadań, które przed sztuką postawiło jeszcze twórcze mieszczaństwo.

Wierność tej już martwej, rzemieślniczej, aleksandryjskiej tradycji, wierność formalna tradycji stylistycznej i artystycznej tej sztuki — decyduje o wartości dla pierwszej estetyki.

Poczwarnie skomplikowana, wynaturzona powieść schyłku kultury mieszczańskiej, powieść Gide'a, powieść choćby w karykaturalnym przedrzeźnianiu, ale jednak wierna zadaniom, które mieszczańskiej sztuce postawiła ongiś klasa mieszczańska uznawana jest za jedyną miarę sztuki i artyzmu. Jest w tym to samo nierozumne skostnienie, które śmieszy nas w ocenach pseudoklasyków chwalących sumienne ody Osińskiego, a odwracających się od Mickiewicza.

Sztuce, którą zapoczątkował Gorki, postawione były inne zadania. Dlatego też mierzyć ją trzeba miarami innej, nowej estetyki. Gdy mówiono o „błędach artystycznych" „Matki" było to nieporozumieniem. Po prostu stwierdzono tylko w niejasny sposób, że „Matka" nie jest epigońską kontynuacją mieszczańskiej sztuki.

Ocenił ją właściwie Lenin. Zadania, które przed swoim powieściopisarzem postawiła klasa robotnicza zostały spełnione doskonale.

Oczywiście i te zadania można sprawniej lub mniej sprawnie wykonać. Dlatego też Gorki dwa razy redagował swoją powieść.

Lecz trzeba dobrze uważać. Bo to co może czytelnikowi przywykłemu do sztuki mieszczańskiej wydać się naiwnością, papierową idealizacją itp. — jest koniecznym chwytem artystycznym z punktu widzenia tych zadań, które przed sztuką stawia nowy ruch masowy, z punktu widzenia tych wartości, które ów ruch tworzy, których realizacji w sztuce domaga się.

Dlaczego „Matka" Gorkiego uważana jest za powieść prekursorską dla realizmu socjalistycznego? Pełna charakterystyka tego stylu i jego realizacji w twórczości Gorkiego wymagałaby osobnego i obszernego studium. Ciekawych odsyłam do nowej, inteligentnej książki Bialika (po rosyjsku) przynoszącej studia o Gorkim poświęcone właśnie temu zagadnieniu.

Tu ograniczę się do podkreślenia sprawy najważniejszej.

Wedle samego Gorkiego realizm socjalistyczny tym się różni od klasycznego realizmu mieszczańskiego, że ten był wyrazem krytycznej postawy pisarza wobec społeczeństwa i jego ustroju, z którym ten ostatni nie czuł się solidarnym, tymczasem postawa pisarza reprezentującego realizm socjalistyczny winna być postawą współtwórcy nowego porządku społecznego, nie tylko bezlitosnego krytyka. — Realizm socjalistyczny w przeciwieństwie do mieszczańskiego zawiera nie tylko wierny obraz rzeczywistości, ale i element wizji, spojrzenia w przyszłość, ku temu co będzie. Tak jest z fakturą „Matki". Gdy konieczność przenikania świadomości socjalistycznej do masy robotniczej, była dopiero pionierską ideą przywódców, Gorkij pokazał środowisko robotnicze, przeobrażone w sposobie życia, działania, myślenia i czucia przez tę właśnie świadomość. Pokazał je na tle surowego, realistycznego obrazu klasy robotniczej i całego społeczeństwa właśnie nieogarniętego przez socjalizm.

Jak pisze Mejłach w swej doskonałej książce „Lenin i problemy russkoj literatury końca XIX — naczała XX w.": Gorkij uważając sztukę za jedną z form odbicia (otrażenija) życia starał się rozszerzać prawo materialistycznej teorii poznania na estetykę". Stąd jego traktowanie realisty jako pisarza, który „powinien opierać swoje uogólnienia na faktach rzeczywistych, a nie wywodzić materiał ideologii z duszy z doświadczenia indywidualnego jak to czynią romantycy - indywidualiści".

Tenże Mejłach stwierdza, iż „Matka" jest realizacją podstawowej zasady dla nowej, drugiej estetyki: zasady partyjności literatury mówiąc językiem Lenina. Zasady konkretnego związku literatury ze służbą społeczną z aktualnością, z polityką, walką klasową, z potrzebami zorganizowanego ruchu masowego.

Z tegu punktu widzenia pisze Mejłach „Matka" Gorkiego przynosi wizję partii jako duchowej rodziny lepszych przedstawicieli ludu, przynosi uzasadnienia konkretnej, politycznie istotnej idei o, konieczności sojuszu całego ludu dla złamania caratu, wreszcie zestrój obrazów tej powieści jest artystyczną ilustracją tezy Lenina o potrzebie i roli wprowadzenia socjalistycznej świadomości w środowisko robotnicze i ogromnej roli rewolucyj 1905 r. dla przebudzenia mas do politycznej walki.

A właśnie to wszystko — to były istotne problemy i zadania, które stawiał w owej dobie ruch masowy przed sztuką powieściopisarską.

Gorkij sprostał tym zadaniom. Stworzył dzieło nowego typu, zapoczątkował nowy styl artystyczny. Dał przytem powieść czytelną, ciekawą, która wzrusza, pobudza, zastanawia. Dał książkę mądrą i żywą.

Dziś jest to dzieło klasyczne. A odpowiada na pytanie ciągle aktualne dla wielu. Odpowiada na kapitalne pytania, które stawia sobie każdy uczciwy człowiek — jak żyć, co czynić, aby być na prawdę człowiekiem naszym konkretnym historycznym świecie.

Stefan Żółkiewski

*) Maksym Gorki — „Matka". Sp. Wyd. „Książka", 1946.

JAKUB LITWIN

Dokument mieszczańskiej rewolucji *)

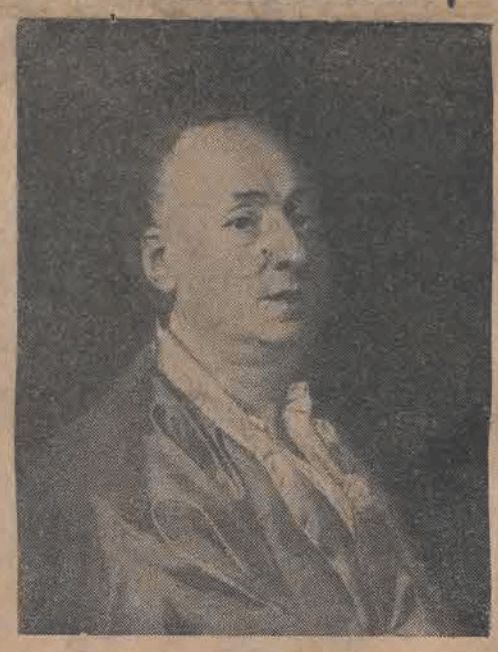

Diderot

DALEKA jest droga od twierdzy La Rochelle do Bastylii. Tak daleka jak od klęski do zwycięstwa. La Rochelle była symbolem wolności. Bastylia ponurym świadectwem niewoli. La Rochelle leżała w gruzach. Bastylia czekała na ludzi, którzy ją zniszczą. A w okresie między upadkiem hugenockiej twierdzy i zburzeniem paryskiego więzienia rozwijał się i potężniał burzliwy, niesforny, rewolucyjny kapitalizm.

Drogą między La Rochelle a Bastylią szło coraz więcej ludzi. Szli ze wsi, miasteczek i miast. Szli często uzbrojeni jedynie w siłę własnych pięści i własnej niedoli — często w bogactwo i filozofię.

„Jestem w nędzy — brzmi list wieśniaka z połowy XVIII w. do króla — bo zabierają mi zbyt wiele. Zabierają zbyt wiele dlatego, że zbyt mało biorą od uprzywilejowanych. Ale nie tylko uprzywilejowani każą płacić za siebie, lecz jeszcze egzekwują swoje prawa kościelne i feudalne... Sam jeden nieszczęśliwy człowiek, opłacam się dwóm rządom, z których jeden dawny, miejscowy, dziś już bezużyteczny i poniżający świadczy o sobie tylko uciskiem, uroszczeniami i daninami; drugi — nowy, centralny, wszędzie obecny, przyjąwszy na siebie wszystkie obowiązki, ma niezmierne potrzeby i całym ciężarem zwala się na moje barki".

Zwolna narastało w świadomości ludu poczucie krzywdy i wadliwości ustroju społecznego.

Drogą do Bastylii wędruje również przywódczyni nadciągającej rewolucji, młoda, wzrastająca w bogactwo i potęgę, burżuazja. Buduje handel i przemysł manufakturowy. Około 1740 r. eksport Francji wynosił około 200 milionów franków, w roku 1755 — 257 milionów franków, a w roku 1776 — 309 milionów franków. Równocześnie mieszczaństwo stawało się coraz potężniejszym wierzycielem państwa. Procenty od tego długu w 1750 roku wynosiły 18 milionów franków, w 1755 — 45 milionów franków, a w 1776 roku — 106 milionów franków.

Swój awans społeczny rozpoczęła burżuazja pomnażaniem bogactwa.

Wraz z bogactwem rośnie nowy pogląd na świat i wiara w swoje siły.

Znam swoje błędy i żywo odczuwam występki swoje — pisał Rousseau do Malesherbesa. — Pomimo to wszystko umrę w tym przekonaniu, że z wszystkich ludzi, jakich znałem, nikt nie był lepszy ode mnie".

I nikt w rzeczy samej nie był lepszy, potężniejszy — nikt z większą ufnością nie spoglądał w przyszłość

Panowie, szlachta zabawiali się beztrosko w Paryżu. Igrali uczuciem i myślą, ale „nie umieli otworzyć ani zamknąć drzwi. Cóżby zrobili ze swym wdziękiem bez służących, którzy im miejsce nóg i rąk zastępują". (George Sand)

A duchowieństwo, szczególnie stojące na szczytach hierarchii kościelnej — zapominało zbyt często o Bogu i o człowieku. Kardynała Larochefoucold, wielkiego jałmużnika królewskiego, charakteryzuje sprawozdanie towarzystwa du Berry, jako człowieka całkowicie obojętnego na wszystkie sprawy publiczne. A tymczasem burżuazyjni filozofowie są gadatliwi i wymowni. Wyszydzają błędy, pruderię, świętoszkostwo, ganią obłudę. Krytykują wszystkich i wszystko.

„Wielcy filozofowie, którzy we Francji podnieśli głowy, by przybliżyć rewolucję sami występowali skrajnie rewolucyjnie. Nie uznawali żanych zewnętrznych autorytetów. Religia, poglądy na przyrodę, społeczeństwo, porządek gospodarczy — wszystko podlegało krytyce" (F. Engels).

Społeczny awans mieszczaństwa wymagał zburzenia tradycyjnej, biernej kultury feudalizmu. I jak zwykle w historii awans społeczny zbiorowości klasowej — był równoznaczny z tworzeniem nowej kultury. Burzono sklerotyczny system hierarchii stanowej i teologiczny pogląd na świat. Statycznemu Bogu przeciwstawiono dynamiczną (aczkolwiek w treści wyłącznie mechaniczną) ideę natury i praw naturalnych. Autorytetowi irracjonalnemu przeciwstawiono tezę empiryczną, racjonalną.

Dynamizm przemian społecznych wytworzył dynamiczny światopogląd.

Gdy Diderot wypuszczał w drogę Kubusia i jego szlacheckiego pana, powietrze we Francji było już wyraźnie zagęszczone nastrojami rewolucyjnymi.

Kubuś jest jednym z tej wielkiej plejady filozofów, którzy, jak stada termitów, podcinali zmurszały gmach monarchii absolutnej. Skąd jedzie i dokąd zmierza — niewiadomo. Ale droga, którą wędruje, jest bezwątpienia wycinkiem wielkiego traktu rewolucyjnego między La Rochelle a Bastylią.

Filozofowano wówczas coraz więcej i głośniej. Coraz mniej było w wypowiedziach dwuznaczników. „Panie — mówił marszałek Richelieu do Ludwika XVI — przy Ludwiku XIV nie śmiano rzec słowa, wobec Ludwika XV — mówiono po cichu, wobec Waszej Królewskiej Mości mówi się zupełnie głośno".

Paryż był szczególnie rozgadany i rozfilozofowany. Antypaństwowe broszury krążyły legalnie i nielegalnie. Dwór często nie miał odwagi konfiskować wydawnictw skierowanych przeciw jego majestatowi.

Salony arystokratyczne błyszczą wdziękiem, elegancją i miłością. Miłość i filozofia podtrzymują się wzajemnie na lśniących, śliskich posadzkach.

„Tutaj, w Paryżu — pisze m-me Oberkirk — zupełnie nie należę do siebie; zaledwie mam czas rozmówić się z mężem i uskutecznić korespondencję. Nie wiem jak radzą sobie kobiety, których to jest życiem zwyczajnym; czyż nie muszą utrzymywać rodziny, ani wychowywać dzieci?"

Kobiety subtelne, mężczyźni wytworni, na wzór postaci z obrazów Watteau zajęci są sprawami świata. Ale świat zamyka się kręgiem ich wrażliwości i ścianami ich salonów. Mają oni „zawsze do czynienia z miłością własną, którą zadrasnąć łatwo! Rozprzęga się rodzina. Małżonkowie często nie żyją ze sobą — a dzieci nazywają swych ojców „panami". Miłość graniczy z rozpustą. Zdrada małżeńska należy nawet do dobrego tonu, ale dokonywać jej trzeba zgodnie z wymogami etyki towarzyskiej.

„Pewien mąż mówił do swej żony: — opowiada Senac de Meilhan. — Pozwalam ci na wszystko, z wyjątkiem książąt i lokajów. Miał słuszość, te dwie ostateczności hańbią swym rozgłosem".

I cóż mógł sądzić nasz filozofujący Jakub — który dowodził, że jest panem swego pana, i że jego pan nie mógłby bez niego żyć — o salonach i o ludziach, którzy salony zamieszkiwali, a w pierwszym rzędzie o miłości, której salony były pełne.

Możnaby mu zapewne włożyć w usta słowa jednego z ówczesnych pamiętnikarzy: „Żenią się, gdy się podobają, gdy się znudzą sobie, porzucają się z taką łatwością, z jaką

*) Denis Diderot. Kubuś Fatalista i jego pan. Spółdz. Wyd. „Książka", W-wa 1947.

się pobrali. Gdy im się tak spodoba, wracają do siebie, jakby się po raz pierwszy zobowiązali względem siebie. I znów się rozchodzą, lecz nigdy się nie kłócą".

Takimi drogami biegła miłość margrabiego de Arcis i margrabiny de La Pommeraye. Najprzód pan kocha — pani jest obojętna. Następnie kochają się obydwoje. W akcie trzecim — pan z kaprysu porzuca panią. Akt czwarty — to historia powrotu pana i wyrafinowanej zemsty pani.

Kubuś nie wydaje sądu o postępowaniu pani de La Pommeraye, ma bowiem zbyt wiele spraw do omówienia i zbyt wiele historyjek do opowiedzenia, ale, bezwątpienia, nie wydałby, jak o tym zapewnia Diderot, sądu potępiającego. Jest przecież człowiekiem dobrych obyczajów, i jak przystało na filozofa — subtelnym psychologiem. Rozumie pobudki jej działania.

„Znana cnota margrabiny dawała jej najwyższe poważania w świecie; — pisze Diderot — dla jego miłości osunęła się w rząd kobiet pospolitych".

Gdzieś w „Nocach florenckich" Julian Klaczko rozróżnia miłość dantejską i shakespearowską, średniowieczną i nowożytną, mistyczną i ludzką. Diderot poddaje miłość i małżeństwo krytyce społecznej. Sprowadza miłość do problematyki socjologicznej.

Małżeństwo jest instytucją, która hamuje aktywność kobiet, dewaluuje ich pozycję społeczną i ogranicza zakres ich zainteresowań. A w tym wieku, gdy miłość arystokratyczna jest tylko igraszką i kaprysem, gdy kobieta staje się jeszcze jedną ozdobą salonów a stosunek pomiędzy płciami przybiera formy stosunków pomiędzy dwoma antagonistami — Diderot poczuwa się do obowiązku bronić płci pokrzywdzonej. Pragnie emancypacji kobiet z wyłącznej władzy małżeństwa i miłości.

Obrona kobiet — była jedną z konsekwencji rozmachu rewolucyjnego burżuazji. Ale miłość we Francji osiemnastowiecznej jest różnorodna. Kochają się margrabiowie, książęta, arystokracja, szlachta, panowie — zawsze kapryśnie, perwersyjnie, zawsze z krzywdą bliźniego — i kochają się te wszystkie Zuzie, Małgosie, — drobnomieszczaństwo w dzisiejszej terminologii a w ówczesnym pojęciu ideał ludu naturalnego. Kochają się raz z sentymentalną łezką w oku, raz — z werwą, energią — nigdy z cudzą krzywdą. Ale zawsze według recept filozofii naturalistycznej.

„Człowieku naturalny — pisze Brissot — idź za swoją wolą, to twój mistrz jedyny... Twoje pieszczoty są niewinne, twoje pocałunki czyste. Miłość jedynie uprawnia do używania, jak głód do własności".

Drobnomieszczaństwo jest takie — jakim go apriorycznie urobiła myśl filozoficzna. Silne, bujne, sentymentalne, spontaniczne w postępowaniu. Jest w przeciwieństwem przesubtelnionej, rozkapryszonej, często perwersyjnej szlachty. A tymczasem... to samo drobnomieszczaństwo opisuje błyskotliwie Artur Young w swym pamiętniku jako ciemne, ospałe, leniwe, kołtuńskie.

Warto czasem zestawić kartki pisarskiego zeszytu z rzeczywistością! Diderot wszystkie charakteryzowane przez siebie warstwy ówczesnego społeczeństwa rysuje w barwach realistycznych. Prócz jednej — tej, z której wyrósł i z którą łączy swoje nadzieje.

Takie są ścieżki pisarskiego pióra!

A tymczasem Kubuś wędruje — patrzy na świat, gada i filozofuje — jak i ówczesny Paryż — z pasją i namiętnością.

Ale coby pozostało z Kubusia, gdyby przestał filozofować?

Nie mógłby powiedzieć swemu panu, że jest odeń mądrzejszy, nie mógłby mu dyktować swoich warunków współżycia. A błędy kubusiowego rozumowania były tak nieuniknione, jak nieuniknione były koleje losu pana, Kubusia i całej Francji. Ale w jego fatalistycznej filozofii przejawia się siła i pewność. Jego powiedzenie „będzie tak, jak jest zapisane w górze" jest świadomością praw, których wola jednostki zmienić nie zdoła. A on, Kubuś, jest składową częścią tego wielkiego, w jego mniemaniu — kosmicznego nurtu.

A „chcę" pana — czy nie jest tylko objawem bezsiły, kaprysem człowieka, któremu świat i ludzie odmawiają posłuszeństwa?

Ten bezprzyczynowy, psychologiczny wyłącznie woluntaryzm jest pojęciem salonów arystokratycznych, tej wielkiej grupy pięknoduchów, obwarowanej własnym egzotyzmem.

W salonach można wydawać rozkazy poddanym — i poddani pański rozkaz rzeczywiście wypełnią. Można pragnąć wystawnego przyjęcia — i można to pragnienie spełnić, choćby kosztem zadłużenia. Można pożądać pięknej kobiety — i można ją faktycznie posiąść. Można też z salonowego fotela projektować swoje wyobrażenia w rzeczywistość świata — i mniemać, że świat jest rzeczywiście ukształtowany na wzór moich wyobrażeń.

Ale poza ścianami salonów rządzą inne prawa. Tu jednostka, świadomie lub nieświadomie, dobrowolnie lub wbrew woli jest cząstką jednej z armii, toczących walkę na wielkim polu historii. A prawo walki społecznej jest inne niż zasady towarzyskiego współżycia.

Gdyby się przedostać poprzez blichtr oficjalnej historii w tajniki rozwoju społecznego możnaby zapewne znaleźć przyczyny kubusiowego fatalizmu, w tym wielkim nurcie młodego kapitalizmu, który, jak szeroką rzeką, rozlewał się po Europie.

Pod hasłem fatalizmu szły do walki wszystkie rewolucje mieszczańskie. Protestantyzm i kalwinizm, hugenoci i purytanie. Fatalizm był jednym z elementów mieszczańskiej filozofii rewolucyjnej, który wzmagał energię i cementował jedność klasy. Potęgował wolę jednostek i grup społecznych.

Przyszedł z tą wielką falą nowej techniki produkcyjnej — z przemysłem i handlem — z manufakturami i kompaniami handlowymi — z wielkimi wynalazkami i odkryciami. Rozpoczął się w tym momencie, gdy człowiek opuściwszy feodalną wieś, wpadł w tryby wczesnokapitalistycznego rynku. Na wsi, przy uprawie roli można było wierzyć w gusła, demony i wszechmoc modlitwy. Ale na rynku towarowym modlitwa zawodziła, a miast guseł i demonów zjawił się nowy fetysz—towar i pieniądz. I trzeba było wdrażać się w mechanizm fluktuacji towaru i pieniądza, w prawa podaży i popytu. By przypadkiem nie zginąć w rozgardiaszu nowych sił i praw gospodarczych. A prawa te były silniejsze od człowieka. Dyktowały zawsze swoją wolę, a rzadko kiedy człowiek miał dość mocy, by narzucić im swoje panowanie.

Mieszczaństwo straciłoby zapewne wiele z rozmachu rewolucyjnego, porzucając swoją deterministyczną filozofię (której poszczególnym przypadkiem był fatalizm). Świadomość konieczności rozwoju świata wzmacniała pewność wywrotowych poczynań — a jednostkę zmuszała do poznawania rzeczywistości. I jak zawsze determinizm był niezbędnym elementem badawczej i racjonalistycznej postawy wobec świata. Filozofia fatalizmu jest przewodnikiem życiowym i mocodawcą Kubusia. Jest motywem zasadniczym jego humoru, energii i dobrego samopoczucia. Co począłby bez swojej filozofii?

W tej wielkiej wędrówce po francuskiej ziemi, między szlachtą, duchowieństwem i ludem — zgubił gdzieś wiarę.

Pisma święte — pisał Diderot w „Pensee philosophique" — na które powołuje się kościół, nie zadowoliły mnie ani przekonały; gdy bowiem szukałem dowodów, znalazłem nowe trudności. Szukając zasad wiary znalazłem równocześnie niewiarę".

W tym kotłowisku przemian Kubuś jest spokojny, zrównoważony. Nie zna problemów, ambicji i władzy — nie myśli o porzuceniu swojej klasy na rzecz klasy wyższej. Wierzy w zbiorowy awans społeczny mieszczaństwa. Zadowala się wchłanianiem — piękna i szczęścia.

„A cóż to takiego szczęście, z punktu widzenia filozofii? — pyta Diderot — To, wynikająca wręcz z przyzwyczajenia, zgodność myśli i poczynań z prawami przyrody".

Kubuś kocha przyrodę, lubi ludzi — dzieci natury, rozkoszuje się życiem.

Ale już kilkadziesiąt lat później Julian Sorel, w zmienionych, nierewolucyjnych czasach przepełni swoje życie ambicją i pożądaniem— a Stendhal zanotuje: „Aby się tym rozkoszować, trzeba by samemu być albo w towarzystwie ludzi cywilizowanych. Dla mnie kompanię rosyjską zepsuło to, że odbywałem ją z ludźmi, którzy potrafiliby pomniejszyć Colosseum i Zatokę Neapolitańską".

Julian Sorel — człowiek z gminu — będzie się piął po drabinie hierarchii klasowych do arystokratycznych salonów. Kubuś dowodzi swemu panu, że mógłby go porzucić, ale godzi się z nim pozostać, jedynie i wyłącznie z dobrej woli. Julian Sorel — egotysta — zapatrzony jest w swoje wnętrze. Kubuś — filozof determinizmu i obiektywizmu — delektuje się pięknem życia.

Takim przeobrażeniom uległa klasa społeczna w ciągu niewielu dziesięcioleci.

Jakub Litwin

WANDA GRODZIEŃSKA

O uczciwy stosunek do spraw literatury dla dzieci

ZNAMIENNYM objawem naszych czasów, bardziej nawet charakterystycznym niż „plaga powojenna" pań z towarzystwa, piszących dla dzieci, którą sygnalizuje anonimowy autor noty w Nr 6 „Kuźnicy" jest brak taktu w polemikach rzekomo literackich. O wartości oceny nie stanowi przecież szereg obelżywych wyrazów i nieprzyzwoitych w tonie insynuacji, ale rzeczowa, poparta argumentami krytyka. Dlatego nota pt. „Panna Gawronek" musi oburzyć każdego uczciwego i kulturalnego czytelnika.

Kiedy przeczytałam ów napastliwy i niesmaczny paszkwil, sklecony wyraźnie przez domorosłego krytyka, któremu prawdopodobnie nie powiodły się pierwsze próby twórczości dla dzieci (i stąd zapewne wywodzi się ów jad nienawiści nie tylko do autorki Antologii Polskiej Literatury Dziecięcej, ale także do wszystkich „pań z towarzystwa" piszących dla dzieci, do Państwowych Zakładów Wydawnictw Szkolnych, a nawet do Ministerstwa Oświaty), otóż kiedy przeczytałam ów paszkwil, przestałam się dziwić, że jego autor ukrywa się pod nic nie mówiącymi literami rdc. Bo jest rzeczą oczywistą, że forma takiej wypowiedzi kompromituje bardziej autora paszkwilu, niż dr. Irenę Skowronkównę, której działalność przedwojenną i obecną znają wszyscy pracownicy kultury na terenie piśmiennictwa dla młodzieży i dzieci.

Aby nie iść śladem anonimowego pana rdc pozwolę sobie po kolei rozpatrzyć jego argumenty, oparte bądź na złośliwej chęci unicestwienia „Antologii", bądź na całkowitym obskurantyzmie w dziedzinie literatury dla dzieci.

Człowiek dobrej woli, który przejrzy wstęp do Antologii, musi zwrócić uwagę na datę jej powstania. W r. 1945, tj. właśnie wtedy, gdy Antologia została złożona w Ministerstwie do oceny, nie istniały jeszcze książki, drukowane podczas wojny (bo takich w ogóle nie było) ani książki, napisane po wojnie. Wiemy wszyscy, (z wyjątkiem autora noty, który zapewne nigdy jeszcze nie wydawał drukiem swych utworów) jaka jest rozpiętość czasu między złożeniem rękopisu do oceny, a ukazaniem się drukowanej całości na półkach księgarskich. Już to samo decyduje o niesłuszności zarzutów, że „odrzucenie całego dorobku wypacza obraz prezentowanego odcinka literatury".

Aby całkowicie bezstronnie oświetlić tę sprawę, muszę stwierdzić, że część winy ponosi tu p. Irena Skowronkówna przez niezręczne sformułowanie poniżej przytoczonego fragmentu wstępu: „względy praktyczne wpłynęły na to, że w „Antologii" zawarte są tylko te utwory, które obecnie mogą być zastosowane w pracy z dziećmi. Nie daje więc ta książka pełnego obrazu polskiej literatury dziecięcej, ograniczając się raczej do okresu poprzedzającego wybuch wojny, z uwzględnieniem nielicznych autorów dawniejszych". I tu następują słowa, które pan rdc umyślnie połączył z początkiem zdania: „Utwory wydane podczas lub po ukończeniu wojny nie są tu uwzględnione", insynuując autorce Antologii, że ze „względów praktycznych" pominęła wyżej wspomniane utwory. Sadze jednak, że każdy człowiek rozumujący logicznie, potrafi rozróżnić, że zwrot „względy praktyczne" dotyczy utworów dawniejszych, które czy to ze względu na przestarzałą formę, czy też zdezaktualizowaną treść, dr. Skowronkówna uważała za stosowne wyeliminować z wyboru, zaś ostatnie zdanie dotyczące utworów wojennych i powojennych z całą słusznością połączy z datą ukończenia książki.

Antologii, szanowny panie rdc, nie układa się na kolanie! A jeśli nawet w chwili drukowania książki można było według pana uzupełnić jej braki, to ani wydawca ani drukarz nie zgodziliby się czekać tak długo. I tu tkwi drugi błąd p. Skowronkówny, że we wstępie nie zapowiedziała drugiej części Antologii, nad którą, o ile mi wiadomo, pracuje.

Na drugi z kolei zarzut pana rdc, „dlaczego pani Skowronek wprowadza utwory Jachowicza i Kononnickiej, a pomija Krasickiego, Mickiewicza, Kraszewskiego, Fredrę, Dygasińskiego" itd. — odpowie każdy, kto choć przez krótki okres stykał się z dziećmi do lat dziesięciu. Oczywiście nie mówię tu o nielicznej garstce przemądrzałych dzieci literatów, czy dzieci pochodzących z „inteligencji pracującej", lecz o ogromnych masach dzieci ze środowisk robotniczych, chłopskich a nawet drobnomieszczańskich. Z całą pewnością, na mocy doświadczenia pedagogów, mogę stwierdzić, że żaden z „pokrzywdzonych" przez p. Skowronek pisarzy nie byłby dostatecznie zrozumiały dla tych młodocianych czytelników, którzy dość często jeszcze w II i III oddziale sylabizują słowa i nie potrafią nawet streścić najłatwiejszego utworu.

Z tych samych względów odpada zarzut pominięcia tak wybitnych pisarzy międzywojennych jak Korczak i H. Górska. Natomiast wyliczeni przez p. rdc. Broniewski, Iłłakowiczówna, Świrszczyńska i Wiszniewski przed wojną nie zdążyli utworów swych wydać w książkach, a co za tym idzie, autorka Antologii musiałaby wyszukiwać ich wiersze po czasopismach dla dzieci. Nie było to łatwe w latach 1939—1945, zwłaszcza że większość tych utworów, drukowana w „Małym Płomyczku", była nie podpisana nazwiskami autorów. Mogłabym do wyżej wymienionych nazwisk dorzucić wiele innych np.: Józefa Czechowicza, Wincentego Burka, Młodożeńca, Krystyny Artyniewicz itd.

Przechodząc do krytyki twórczości poszczególnych pisarzy, pan rdc. z najbardziej rzeczowej, często nawet entuzjastycznej oceny wybiera celowo jedno jedyne zdanie negatywne, aby dowieść, że autorka nie docenia walorów żadnego pióra od Jachowicza począwszy, a skończywszy na Brzechwie. I tu znów chwyt charakterystyczny dla metody p. rdc. „...zawarte w antologii utwory nie ilustrują w najmniejszym nawet stopniu założeń p. Skowronek, wypowiedzianych w przedmowie. ...Aczkolwiek p. Skowronek podnosi walory wychowawcze utworów Porazińskiej, te, które przytacza należą właśnie do grupy utworów rozrywkowych"... Czyż naprawdę, szanowny p. rdc, takie utwory jak „Plama na podłodze" (wierszyk higieniczny) „Gałgankowa laleczka" i „Stoi strach na wróbie" (zagadnienie porządku), „Szyła baba worek" (nauka dni tygodnia), „Husi... husi..." (pomoc rodzicom), „Koziołeczek" (solidarność dziecięca), czyżby naprawdę utwory te nie posiadały żadnych momentów wychowawczych?

Pozwolę sobie nadto przytoczyć kilka zdań pewnego znakomitego pedagoga, który oburzony treścią noty ot „Panna Gawronek" natychmiast na nią zareagował listem do redakcji „Kuźnicy":

„Jest rzeczą nieprzyzwoitą, by oceniając czyjeś dzieło urządzić sobie kpiny z nazwiska autora. Ostatecznie nie każdy ma pięknie brzmiące nazwisko na ski, a wydrwiwanie nazwisk ludowych jak Wrona, Sroka czy Skowronek nie uchodzi w ustroju Demokracji Ludowej.

Wzgardliwe klasyfikowanie doktora filozofii (bodaj doktora nauk pedagogicznych), osoby, która zawodowo i z poświeceniem zajmuje się od wielu lat sprawami dziecka — jako „pani z towarzystwa" jest demagogiczną napaścią niczym nie uzasadnioną.

Pomawianie autorki przy pomocy przekręconego cytatu o „Płomyku" o chęć schlebiania nauczycielstwu zwiazkowemu dla celów merkantylnych — jest również chwytem nieuczciwym.

Toż samo można powiedzieć o chwycie polegającym na wiązaniu autorki z wrogą emigracją. Przecież „Antologia" ukazała się wcześniej, zanim pojawiła się sławetna enuncjacja pisarzy londyńskich, na której widnieje podpis Bogusławskiego".

*

Aby ocenić obiektywnie „Antologię Polskiej Literatury Dziecięcej" w opracowaniu dr. Skowronkówny, należy rozpatrywać jej walory jako też usterki z pewnej perspektywy. Książka ta powstała zbyt wcześnie, aby mogła objąć cały dorobek wojennej, nie opublikowanej jeszcze w pierwszych miesiącach 1945 r. a także powojennej twórczości dla dzieci i młodzieży.

Z konieczności dr. Skowronkówna ogranicza wybór tekstów do okresu od drugiej połowy XIX wieku do jesieni r. 1939.

Antologia jest skomponowana przejrzyście, odznacza się właściwym doborem utworów ze względu na ich poziom artystyczny i wychowawczy, a w miarę możności obejmuje najwybitniejsze pióra.

We wstępie pt. „Kilka słów o polskiej literaturze dziecięcej" dr I. Skowronkówna kreśli zwięźle linię rozwojową twórczości dla dzieci, która, jak słusznie twierdzi autorka aż do czasów Konopnickiej nie posiadała jeszcze znamion artyzmu i służyła wyłącznie celom utylitarnym. Dlatego dr Skowronkówna poświęca znacznie więcej miejsca charakterystykom pisarzy od chwili wystąpienia M. Konopnickiej do r. 1939 włącznie. Charakterystyki te są na ogół trafne, lecz często oderwane od socjalnego podłoża twórczości poszczególnych pisarzy i zbyt mało związane z kierunkami literackimi w piśmiennictwie dla dorosłych.

Wprawdzie autorka omawia dość obszernie wpływ okresu pozytywizmu na ideje wychowawcze, propagowane w literaturze dla dzieci, w dalszym ciągu jednak rezygnuje z analizy twórczości dla dzieci na podłożu prądów literackich i społecznych, przenosząc całkowicie swe rozważania na grunt pedagogiczno-wychowawczy. A przecież nie tylko pozytywizm, lecz nawet tak całkowicie oderwane od wszelkich założeń pedagogicznych kierunki literackie, jak symbolizm i ekspresjonizm, znalazły swe odbicie w literaturze dziecięcej. Wdzięć to można na przykładzie twórczości dla dzieci Bronisławy Ostrowskiej, na przykładzie leśmianowskich motywów w utworach poetyckich Hanny Januszewskiej. W ostatnich latach przedwojennych wtargnęły do literatury dla dzieci echa formalizmu w twórczości Tuwima i Brzechwy.

Niezbyt szczęśliwie wypadł również skorowidz rzeczowy, którego zadaniem było, o ile mi się zdaje, wyodrębnienie gatunków literackich i zagadnień społecznych. Jest to praca istotnie żmudna i odpowiedzialna, gdyż różnorodne typy utworów zazębiają się wzajemnie, utrudniając autorce zróżniczkowanie tematów.

Wracając do sprawy wyboru tekstów, trzeba stwierdzić, że dr Skowronkówna konsekwentnie uwzgledniła w antologii tylko takie utwory, które już w założeniu swoim były przeznaczone dla młodocianych odbiorców, a pominęła całkowicie teksty literackie, przyswajane w miarę czasu piśmiennictwu dla dzieci jak np. bajki Krasickiego, Mickiewicza i innych.

Jak zwykle w tego rodzaju pracach można by było dyskutować, czy istotnie wszystkie przytoczone utwory winny były znaleźć miejsce w antologii, podobnie brak tych czy innych tekstów mógłby stanowić temat do dyskusji, jednakże odsetek utworów chybionych wydaje mi się minimalny, a wartość tego zbioru niewspółmiernie większa niż jego niedociągnięcia.

Jest to pierwsza antologia polskiej literatury dla dzieci w powojennej Polsce, antologia, której zadaniem w okresie jej powstawania było zgromadzenie najlepszych utworów poetyckich dla dzieci pozbawionych dobrej lektury. Od roku 1945 zmieniło się bardzo wiele: puste witryny księgarskie zapełniły się wielką ilością książek, wydanych z wielką starannością i smakiem artystycznym. Wysiłek dr Skowronkówny nie nadążył za nimi, zatrzymując się na r. 1939. Jest rzeczą konieczną, aby drugi tom, obejmujący okres wojenny i powojenny, uzupełnił i zaktualizował „Antologię Polskiej Literatury Dziecięcej" w jak najszybszym czasie.

Wanda Grodzieńska

TREŚĆ NR 8:

Ewa Korzeniewska — **Długa i piękna droga twórczości**; Stefan Żółkiewski — **Spór po rekolekcjach**; Seweryn Poliak — **Fabryka, dom kultury, cerkiew**; Tadeusz Juliusz Kroński — **Henri Lefebvre i renesans lewicy francuskiej**; Stefan Otwinowski — **Pierwszy etap**; Aleksander Wat — **Wiersze**; Kandyd — **Pięćdziesięciolecie „J'Accuse"**; Ryszard Matuszewski — **„Opowiadania przewrotne" Żukrowskiego**; Adolf Sowiński — **Akademicka powieść o Koperniku**; Maria Janion — **O monografię powieści Jeża**; Wanda Grodzieńska — **Przekłady powieści dla młodzieży**; Tadeusz Kubik — **Tydzień polityczny**; **Kronika radziecka**! Jerzy Pomianowski — **Prawa czasu i sprawy chwili**; Kajetan Kotowicz — **Felieton gospodarczy**; **Przegląd prasy**; **Korespondencja**; **Noty.**

MARIUSZ MARGAL

PARYSKI STYCZEŃ 1948

„Statek przyjaźni" wiózł 400 ton żywności, wiele papieru i błonę filmową. Żywność była podarunkiem. „Dla dzieci Francji na gwiazdkę i szczęśliwy Nowy Rok". Papier, by móc o tym darze pisać dużo i bez ograniczeń, taśma filmowa była przeznaczona dla aktualności. Dar bowiem zasłużył sobie na reklamę: statek jechał aż z Nowego Jorku i ta żywność została zebrana „dobrowolnym wysiłkiem narodu amerykańskiego", bo naród amerykański kocha pokój i nie chce, by głodowały francuskie dzieci. Francuskie dzieci kochają czekoladę. Francuskie dzieci bardzo rzadko widzą prawdziwą tabliczkę czekolady, zaś w darze zza oceanu było dużo tabliczek czekolady, amerykańskich czekoladek za dwa centy. Od Havru dary jechały do Paryża pociągiem, pociąg był gęsto, aż po lokomotywę oblepiony afiszami: „to jest dar Ameryki" i jechał powoli. Zatrzymywał się na każdej stacji i na każdej stacji odbywała się ceremonia powitalna. W Paryżu ceremonia była oczywiście największa i najuroczystsza, był nawet bankiet, wymieniano jakieś krzyże i odznaczenia. Dar został przeładowany na ciężarowe auta ładowane nie do pełna, by ich było jak najwięcej i by potem można było wywiesić wielkie afisze: „400 takich aut trzeba było, aby przewieźć dary narodu amerykańskiego". Potem 400 aut wyruszyło na miasto i długim szeregiem obwoziło po Paryżu żywność, która miała oznaczać przyjaźń, a była dobrym interesem. Była mgła, auta jechały przez wielkie bulwary i Pola Elizejskie, okrążyły Plac Gwiazdy pod Łukiem Triumfalnym, zatamowały ruch, jechały wolno, by każdy mógł przeczytać wymalowane na nich napisy. Wzdłuż trasy tej defilady obiektywy kamer filmowych wdzierały się we mgłę, by uwiecznić na taśmie filmowej te ciężarówki, jak uprzednio uwieczniły już przyjazd statku do portu i drogę pociągu aż po Paryż. Potem auta pojechały na plac Hotel de Ville przed ratusz, gdzie już czekało bardzo dużo dzieci, które śmiały się i powiewały gwiaździstymi chorągiewkami z papieru. Była mgła, urządzenia elektryczne oczekiwały filmowców, przygotowane z góry, i potem cały świat mógł oglądać na ekranie tę wielkość Ameryki i dzieci Francji, które lizały przed ratuszem Paryża amerykańskie czekoladki za dwa centy, powiewały gwiaździstymi chorągiewkami z papieru i były zadowolone.

Była mgła, potem nawet padał deszcz, ciepła i dżdżysta jest tegoroczna francuska zima. W całym kraju wody idą w górę, w Alzacji wylał już Ren i Saara, w Paryżu Sekwana wyrwała się z obmurowanych brzegów. Na placu Gwiazdy przed wyjściem z metra sprzedawcy pieczonych kasztanów przytupują dla rozgrzewki, bo mokro w nogi, gdy się tak cały dzień stoi pod gołym niebem i pada deszcz. Stoją przed swoimi wózkami, podtrzymują pod kotłami ogień, by nie wygasł i dorzucają kasztany. Dorzucają zrzadka i niewiele, bo jedna mała porcja kosztuje 20 franków, zresztą jest ciepło i nie trzeba kupować gorących pieczonych kasztanów dla rozgrzewki, jak zwykle. Stoją, zachwalają swój towar, przygotowują świeczkę lub lampkę naftową, bo wieczór zapada dziś szybko i cały plac tonie w zapachu kasztanów, w przemiłym zapachu pieczonych kasztanów, których nikt nie kupuje. Zresztą, któż by miał je kupić? Tu jest plac Gwiazdy i nie wypada kupować pieczonych kasztanów u ulicznego sprzedawcy, tu jest plac Gwiazdy, poznaje się go po zapachu tłumu i po szeleście długich, kloszowych sukien, które pod dyktando wielkich magazynów opadają coraz szybciej ku dołowi. Tu jest plac Gwiazdy, te suknie są niepraktyczne dla kobiety pracującej zawodowo i niedostępne dla niej, gdy tak trudno dziś o materiał, ale o to przecież chodzi, by się wyodrębnić. Tu jest plac Gwiazdy, bogactwo znalazło niedostępny dla innych uniform.

U wejścia do metra stoją jeszcze sprzedawcy gazet i najczęściej wyciągają spod chroniącego przed wilgocią płótna egzemplarz „L'Epoque", która domaga się, by rozwiązano partię komunistyczną i broni Bassompierre. Bassompierre był Francuzem, kierował milicją Vichy, miał stopień oficera Wehrmachtu i dostał od Führera dwa razy Żelazny Krzyż. „Epoque" go broni, bo był lojalnym żołnierzem i wypełniał tylko rozkazy, bo nie miał przecież żadnych osobistych zbrodni na sumieniu, bo ,za kilka lat tacy jak on będą może uważani za prekursorów". Po za tym „Epoque" operuje „wolnością, równością i braterstwem" i wyraża swe głębokie zadowolenie, że minister Teitgen zakazał kolportażu wśród żołnierzy i w koszarach trzech pism: „L'Humanité", „Avant-garde" i „France d'abord". Taki sam zakaz wydał Daladier w roku 1938, ale potem było Monachium i potem była wojna, więc już zapomniano o tym rozporządzeniu i trzeba je było odnowić „L'Humanité" zmniejszono także przydział papieru, ale to nie dziw, bo papieru wciąż jest zbyt mało we Francji i zrozumiałe, że nie można go zmniejszyć „Readers Digest", który wydziela masom odpowiednio spreparowaną i wybraną dawkę sproszkowanej kultury, ani „L'Etendard", który w nagłówku twierdzi, że jest „pismem ludzi wolnych". „L'Etendard" wychodzi od niedawna, całą tytułową stronę przecina wielki, niebieski, lotaryński krzyż i pod tym znakiem „L'Etendard" przynosi wiadomości z Francji, której rząd nazywa nielegalnym, zajmuje się komunistami, którzy są zakałą republiki i generałem de Gaulle, który jest tejże republiki mężem opatrznościowym. Na ostatniej stronie podaje jeszcze wiadomości z życia Imperium pod wielkim tytułem „Ici l'Empire", a imperium to oczywiście Francja z koloniami, Unia Francuska jest pojęciem nieistniejącym, bo przecież nie można się ośmieszać i traktować tych kolorowych ludzi jako równych sobie! Zresztą trzeba już naprawdę uregulować nareszcie te wszystkie madagaskarskie i indochińskie historie, które tak długo trwają i przysparzają tyle strat! Marnuje się tyle kauczuku, który niepotrzebnie się miesza z płynącą w Indochinach krwią, kauczuk jest bogactwem Indochin. Indochiny są perłą Francji, Paryż jest centrum republiki, dwunastoma wielkimi alejami promieniuje plac Gwiazdy na Paryż. To już za długo trwa, nawet rząd Stanów Zjednoczonych już się niecierpliwi i szpaltami „Baltimore Sun" poleca, by „uczynić wszystko, co możliwe, aby przywrócić aktywność strefom intensywnej produkcji w Indochinach". „Ici l'empire"! Przedstawiciel rządu republiki spotkał się w Genewie z Bao Dai, Bao Dai był cesarzem Annamu, współpracował z Japończykami, ustąpił z woli ludu, może wstąpi z woli Francji, lepszy już cesarz niż Ho Chi Minh, który domaga się obiecanej wolności. „Ici l'empire"! Został zwolniony z więzienia Paul Baudoin, były minister spraw zagranicznych Petaina, sygnatariusz paktu z Japonią. Paul Baudoin został skazany dwa lata temu na pięć lat więzienia, Paul Baudoin jest prezesem Banku Indochin, Viet-Nam za długo stawia opór, domagając się wolności, „Ici l'empire"! „L'Etendard" nie zmniejszono przydziału papieru.

Właśnie mówił generał. Pojechał do Saint Etienne, robotniczego centrum, by przedstawić swój program socjalny. Zaczął od słów, że „jest zima i szybko zapada dziś noc', zaczął bardzo poetycznie swoją mowę do robotników, którzy nie musieli go słuchać, bo co de Gaulle powiedział w St. Etienne 4 stycznia 1948 roku, powiedział już w St. Etienne marszałek Petain 1 marca 1941 r. i nie musi kupować „L'Etendard" kto posiada stare numery „Pariser Zeitung". Marszałek mówił: „Podstawową komórką społeczną jest przedsiębiorstwo... Na jego podstawie zostaną stworzone komitety przedsiębiorstw, które jako „Comités sociaux" zorganizują nie klasę, ale właścicieli, techników i robotników, by razem szukali rozwiązania aktualnych problemów". Generał mówił: „Zaprawdę, odbudowa gospodarki Francji i awans społeczny robotników leży jedynie w zrzeszeniu. Zrzeszenie, cóż to jest takiego? Jest to zjednoczenie w jednym przedsiębiorstwie wszystkich, którzy biorą w nim udział; kierownicy, kadry, robotnicy na równych prawach ustalać będą warunki swej pracy... w ten sposób, by wszyscy od właściciela czy dyrektora do niewykwalifikowanego robotnika włącznie otrzymywali według ustalonej hierarchii wynagrodzenie proporcjonalne do wydajności przedsiębiorstwa". Potem generał atakował nacjonalizację, instytucje ubezpieczeń społecznych, rozpolitykowanie syndykatów i prasa brytyjska wyrażała swoje niezadowolenie za zbyt jasne i wyraźne sformułowanie programu. Kiedyś generał walczył przeciw marszałkowi, ale to już należy do historii.

Od placu Gwiazdy idzie bezpośredni autobus aż po giełdę. To jest bardzo ważna trasa i autobus numer 52 jest zawsze przepełniony, „complet", szczególnie teraz, kiedy decyduje się los franka. Los franka decydował się właściwie w Waszyngtonie, ale nie wszyscy mogli go śledzić ze szpalt „New York Herald Tribune", więc jechano pod gmach paryskiej giełdy. Giełda ostatnio była spokojna, tylko akcje wielkich trustów i karteli nieco poszły w górę, bo nie ich dotyczyła reforma podatkowa René Mayer, która objęła drobny handel i chałupnicze rzemiosło. Kupcy i rzemieślnicy odpowiedzieli jednodniowym strajkiem i protestowali w wielkiej sali Vel'd'Hiv, ale los franka był już przesądzony, bo minister Bidault podpisał układ z USA. Francja dostała kredyty w Ameryce, Ameryka jest wielka i dobra, na Wall street jest wielu przyjaciół Francji, umowa ma treść następującą:

„Mając na względzie pokój na świecie" Stany Zjednoczone udzielają Francji kredytów na zakup towarów w Stanach Zjednoczonych. Stany Zjednoczone będą dostarczać tylko tych towarów, których posiadają dostatecznie wielkie zapasy i będą kontrolować ich zużycie wewnętrzne i eksport, który nie może mieć miejsca bez zezwolenia Stanów. Kontrola ta zostanie przeprowadzona przez specjalny sztab administracyjny działający na terenie Francji a składający się z obywateli amerykańskich, „których lojalność zostanie w odpowiedni sposób stwierdzona". Delegaci ci mają prawo wglądu w budżet i finanse dotyczące importowanych z Ameryki towarów, przy czym kontrola ta i zezwolenia eksportu zostają rozciągnięte także na towary pochodzące z własnej produkcji lub z innych państw, jeżeli niezależnie od tego Francja importuje je także z USA. Administracja ta musi dbać po za tym, by wszystkie nadchodzące z USA produkty były znaczone w wyraźny, widoczny i niedwuznaczny sposób, wskazujący natychmiast na pochodzenie towarów. Administracja ma rozpocząć akcję reklamową przy użyciu prasy i radia. Ceny produktów dyktowane są przez odnośne przepisy amerykańskie, przy czym rząd USA nie ponosi żadnej odpowiedzialności za jakość dostarczonych towarów, nie ponosi też żadnych kosztów transportu ani magazynowania. Stany Zjednoczone zastrzegają sobie prawo przerwania układu z tą chwilą, kiedy „prezydent uzna, że jest on niepotrzebny i niepożądany lub na skutek zmiany sytuacji nie pokrywa się z interesami narodowymi USA".

Komuniści protestowali. Rozwiązano komunistyczne merostwa w Malakoff i w XI i XX obwodzie Paryża, odmówiono partii jakiegokolwiek przydziału benzyny, którą dysponuje Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, komuniści nie weszli w skład prezydium Zgromadzenia Narodowego, którego są najliczniejszą partią. Zniesiono lokalne audycje radiowe stacji Nancy, Bordeaux, Limoge, Grenoble, Montpellier. W Malakoff gauliści zaatakowali placówkę wyborczą partii komunistycznej, do programu radiowego ma się wprowadzić audycje reklamowe, a jeżeli komuniści potrzebują benzynę, niech ją na czarnym rynku po drogich kupują cenach. Wtedy będzie jeszcze jeden wspaniały chwyt propagandowy, że komuniści popierają czarny rynek i będzie o czym pisać. Teraz właśnie pisze się, że wybory w Malakoff pokażą prawdziwy nastrój kraju, ale w Malakoff 48 proc. głosów uzyskali komuniści, a RPF straciło wiele głosów, więc te wybory nie miały oczywiście żadnego znaczenia. Zamknięto redakcję tygodnika rosyjskiego wychodźtwa we Francji i „Sowiecki patriota" nie ukaże się już więcej w Paryżu.

Na Morzu Śródziemnym trwają bez przerwy manewry floty amerykańskiej, admirał Conolly oświadczył prasie, że w manewrach bierze udział flota silniejsza niż z czasów działań wojennych, minister spraw zagranicznych Franco, Arnajo, wyraził nadzieję, że plan Marshalla obejmie i Hiszpanię, „której program polityczny jest zbliżony do amerykańskiego". W Paryżu rozpędzono manifestację protestacyjną przeciwko skazaniu na karę śmierci Zoroa, do Madrytu przybył deputowany departamentu Bas-Pyrenees „w sprawach osobistych", granica francusko-hiszpańska przygotowuje się do otwarcia, bo przecież nie można tworzyć sztucznych barier, gdy chodzi o rozwój pokoju.

Minęła pięćdziesiąta rocznica „J'accuse", kilkoma słowami na ostatnich stronach wspomniały o niej gazety z kiosków na placu Gwiazdy, nikt już dziś nie pamięta oskarżenia Zoli. „Panie Prezydencie" pisał do Feliksa Faure autor „Nany" i „Germinal", „Zbrodnią jest oskarżanie o mącenie spokoju tych, którzy chcą ją szlachetną, na czele narodów wolnych i sprawiedliwych, gdy samemu knuje się haniebny spisek narzucenia swoich wykroczeń całemu światu". „Panie Prezydencie" pisał 50 lat temu do głowy państwa Emil Zola, „Prawda kroczy naprzód i nic jej nie zatrzyma! Dzisiaj tylko pozycje są już jasne: z jednej strony winni, którzy nie chcą, by się stała sprawiedliwość, z drugiej strony sędziowie, którzy życie dadzą, by sprawiedliwość została osiągnięta... Ja mam tylko jedną miłość: tę, która dąży do światła w imię całej ludzkości, która tyle cierpiała i która ma prawo do szczęścia". To było 50 lat temu, 13 stycznia 1898 roku, dziś jest styczeń 1948, ciepły i deszczowy. Po 50 latach znów podjąć trzeba narodowi francuskiemu wielkie oskarżenie i potężnym „J'accuse!" rzucić je w twarz tym, którzy chcą zdławić wolność ludu. 100 lat temu gniew tego ludu rozlał krew na ulicach Paryża, z tej krwi wyrastały dzieje postępu, dziś jest spokojna zima w Paryżu, ciepła i deszczowa, na placu Etoile tłum pachnie i szeleści, we Francji wzbierają wody.

Mariusz Margal

STEFAN HRABEC

Obu-żenie na pisownię

SPRAWA pisowni wciąż nie daje spokoju wielu publicystom. Bo jakże? Nieustanne zmiany i zawiłe przepisy obowiązującej pisowni prowadzą do tego, że — jak powiada —St. R. Dobrowolski w Kronice tygodniowej 31 nru „Nowin Literackich"—„poważna większość ludzi w Polsce—nawet wykształconych — pisze, jak to określił bodajże Tuwim, według swego piszymisię". Na dowód tego wskazuje autor Kroniki tygodniowej na ogłoszony w nr 11 „Warszawy" artykuł K. W. Zawodzińskiego pt. „Ortoepia, ortografia a pozostałości faszyzmu," którego autor proponuje swobodne stosowanie zasad dawnej i nowej pisowni z 1936 r. Słusznie jednak Dobrowolski podkreśla, iż „byłoby to znakomitym ukoronowaniem panującego już bałaganu".*) Najlepiej więc byłoby ustalić takie prawidła, by każdy mógł pisać nie gwałcąc ich i zbytnio się nie wysilając. W tym też kierunku zmierzają dalsze wywody Dobrowolskiego. Pisze on bowiem dosłownie: „Jeśli idzie o mnie, to już mam dosyć figluw z ortografią. Nie widzę rozsądnych powoduw, dla kturyh mam co parę lat na nowo uczyć się zasad pisowni — raz pisać słowo żuraw tak a raz inaczej. Gdzie jest sens, żeby dla oznaczenia tego samego dźwięku raz używać jednego znaku a innym razem drugiego."

„Nie widzę ruwnież powoduw, dla kturyh robotnik — wyjątkowo utalentowany w dziedzinie swojej specjalności — zostawszy dyrektorem fabryki musi tracić bug wie ile czasu na opanowanie niewątpliwie zbyt skomplikowanych zasad ortografii, żeby się nie narażać na śmieszności w oczah lada cymbałuw sądzących, że świat się zawali po usunięciu z polskiej pisowni takih znakuw jak **ó**."

Domaga się więc Dobrowolski „radykalnej" zmiany pisowni; przeczuwa, że narazi się na zarzut „bolszewizmu" ze strony obskurantów, ale się tym nie przeraża, bo reformom będą rade małe dzieci, a to ostatnie jest dlań ważniejsze. On zaś sam będzie wreszcie wiedział, które słowa pisze się łącznie, a które rozłącznie i jak się pisze niektóre brzydkie wyrazy. I dalej cytuję dosłownie: „Być może, że nie mam racji w tym, co tu napisałem. W takim razie proszę mnie o tym. pżekonać. Rad bym bardzo, gdyby wszyscy zechcieli się na ten temat spokojnie wypowiedzieć. Nie tylko pan profesor Nitsch. I nie tylko K. W. Zawodziński."

Umyślnie przytoczyłem „żywcem" niektóre wypowiedzi autora Kroniki tygodniowej, by zilustrować przy pomocy stosowanej przez niego pisowni, jak wyobraża on sobie jej radykalne zmiany i aby usprawiedliwić swoje na ten temat wystąpienie. Korzystam z zaproszenia i jako jeden ze wspomnianych „wszystkich" zabieram głos.

Zacznę od końca. Zaprasza Dobrowolski wszystkich do spokojnych wypowiedzi, jakkolwiek jego artykuł pełen jest temperamentu i nasycony został mocno treścią uczuciową. A w takiej atmosferze trudno o spokojne wypowiedzi. Bo poza nazwaniem wszystkich przekonanych o potrzebie zatrzymania w pisowni znaku **ó** „cymbałami" znajdą się i argumenty naukowe (np. ten sam dźwięk oznaczać zawsze tym samym znakiem) i socjalnie (jak trudno dzisie,szą pisownię stosować utalentowanemu robotnikowi, który został dyrektorem fabryki) i podkreślenie, że reforma pisowni ułatwi życie gnębionym do tej pory nałym dzieciom, i momenty osobistej wygody („ja zaś będę nareszcie wiedział, kture słowa pisze się łącznie... a kture rozłącznie!!) i wreszcie apel do **mas** (aby się wszyscy na ten temat spokojnie wypowiedzieli; „co na to TUR i inne organizacje"). Z pewną obawą wkraczam więc na podminowany teren i spróbuję red. Dobrowolskiego przekonywać.

Jak wynika z treści artykułu i przytoczonych próbek pisowni proponowanej przez autora, pragnąłby on, by w myśl zasady „ten sam dźwięk oznaczać zawsze tym samym znakiem": 1) zamiast dwu znaków **ch** i **h** używać tylko jednego **h**, 2) usunąć znak **ó** i pisać stale **u**, 3) zastąpić **rz** przez **ż**. Nadto 4) chciałby na podstawie prostych reguł wiedzieć, które wyrażenia pisze się łącznie, a które rozłącznie.

Pozostawiając na razie punkt 4) na boku zajmiemy się trzema pierwszymi. Jakkolwiek w tzw. polszczyźnie kulturalnej znaki **ch ih, ó** oraz **u, rz** tudzież **ż** w istocie oznaczają jeden dźwięk, to całkiem tak nie jest we wszystkich polskich dialektach. Repatrianci z Kresów Wschodnich i mieszkańcy pogranicza czeskiego doskonale odróżniają w wymowie **h** od **ch**. U nich **chałupa** i **harmider** naprawdę nie brzmią tak samo. A jeśli tu decydować się na jeden znak to raczej na **ch** niż na **h**, bo znak ten ma już dużą tradycję i wymowa **ch** na całym obszarze Polski jest jednakowa; różnice są tylko w wymowie **h** i co najwyżej ono mogłoby ulec usunięciu. Nie na całym też obszarze Polski dźwięk oznaczany znakiem **rz** brzmi jak **ż**. W wielu stronach słychać tam jeszcze **rż**. Tak samo **ó** nie wszędzie brzmi jak **u**. Argument więc „ten sam dźwięk oznacza tym samym znakiem" właśnie w odniesieniu do mas ludowych odpada. Mowa ludu bliższa jest w niektórych wypadkach pisowni literackiej. Jak już z zacytowanych ułamków wiedzy o języku ludu widać, jest on bardziej zróżniczkowany niż język ogólnopolski (literacki); w różnych stronach Polski różnie te same co do pochodzenia dźwięki wymawiają, trudno więc stosować w odniesieniu do języka ludowego wspomnianą zasadę, bo trzeba by wprowadzać dokładną naukową pisownię fonetyczną. To, co powiedziałem o języku ludowym da się też zastosować do języka warstw robotniczych, który stanowi stadium pośrednie między gwarami a językiem kulturalnym. Ale powie ktoś, że nie idzie w tym wypadku o język ludowy (choć argument o robotniku — dyrektorze wyraźnie na to wskazuje) tylko o to, by dźwięki języka literackiego pisać zawsze tą samą literą. I ta sprawa nie jest tak idealnie prosta, jak się na pierwszy rzut oka wydaje. Bo nawet red. Dobrowolski nie wymaga, by pisać **ruwniesz** zam. **również**, czy **buk** zam. **bóg** (poprzestaje na: **bug**), choć na końcu tych wyrazów wszyscy słyszymy raz **sz** drugim razem **k**, tj. takie same dźwięki jak np. na końcu słów **widzisz** lub **rok**. Albo weźmy taki przykład: Krakowiak i Poznaniak powiedzą **raz używać** (cytuję jedno z wyrażeń Dobrowolskiego) w Warszawie zaś usłyszy się **ras używać**. Również krakowskiego jezdem nie usłyszy się w Warszawie. Dlaczego więc warszawianin ma pisać **raz używać**, gdy mówi ras używać, a krakowianin pisać **jestem** przy powszechnej niemal wymowie **jezdem**. I jeszcze jedno. Dlaczego ograniczać się tylko do usunięcia **ch, ó** oraz **rz**. Jeśli już ten sam dźwięk miałby być ozna-

*) Sprawozdawca, podpisany literami rk, nie podzielając w całości wywodów K. W. Zawodzińskiego, które dość obszernie streszcza w Przeglądzie czasopism 30 nru „Nowin Literackich" pod nagłówkiem „U progu czwartej reformy" — dochodzi jednak do wniosku, „iż pora najwyższa uporządkować sprawy związane z polską pisownią".

czany zawsze tym samym znakiem, to ogół Polaków byłby skłonny wyraz, napisany przez autora Kroniki tygodniowej jako **sens**, napisać **sęs** i na odwrót słowo **rozsądnych** jako **rossondnych**, bo taka jest wymowa języka ogólnopolskiego. To tylko najbardziej bijące w oczy przykłady stosowania i przez Dobrowolskiego innych znaków niż dźwięki. Można by wyliczyć ich o wiele więcej. Widać z tego, że nawet w stosowanym przez Dobrowolskiego systemie ortograficznym brak konsekwencji, czyli że ułożenie systemu odpowiadającego wymowie, a nie wprowadzającego olbrzymiej ilości znaków naukowych nie jest zupełnie proste: raz dlatego, że zarówno mowa ludu jak i tzw. warstw wykształconych nie stanowi czegoś jednolitego, drugi raz ze względu na tradycję. Bo to, że dziś piszemy rozsądnych, a wymawiamy **rossondnych** oparte jest na tradycji: ci, którzy pierwsi napisali **rozsądnych** wymawiali po s samogłoskę nosową, a nie **on**, jak dziś. Aby więc zachować związek z przeszłością i nie być zmuszonym uczyć naszej młodzieży paleografii (sztuki odczytywania starego pisma i druków) jeśli byśmy chcieli jej dać do ręki druki sprzed „radykalnej" reformy, stosujemy pisownię dzisiejszą będącą kompromisem między pisownią tradycyjną a fonetyczną.

Każdej więc, nawet pozornie najprostszej, zreformowanej pisowni trzeba będzie się uczyć, bo kto da tę pewność, że będzie ona bliska systemowi wymawianiowemu danej jednostki. Jeśli ułoży się ją „po warszawsku", więcej będą musieli się uczyć krakowianie, jeśli „po krakowsku" to warszawianie. Oparta znowóż o wymowę ludową będzie sprawiać trudności warstwom inteligencji lub na odwrót. Tak więc zdolny robotnik mianowany dyrektorem nie będzie mógł nigdy pisać jakby chciał, będzie się musiał zawsze jakiegoś systemu wyuczyć wbrew największemu nawet swemu „Obu Żeniu" (bo i tak często dzielą wyrazy ludzie z pisownią nie zaznajomieni), bo na pewno jego system dźwiękowy i poczucie granic słowa będą inne niż u autora nowego systemu. Naprawdę utalentowanym te sprawy nie zajmą zbyt wiele czasu. A czy się wyuczy systemu nowego, czy dziś obowiązującego, to już sprawa zupełnie drugorzędna. Mało jest gwarancji, że system nowy będzie prostszy, bo jeżeli go będą układać nie językoznawcy, to będzie raczej zawilszy (przykład: *usunięcie ch* przez *Dobrowolskiego*), a specjaliści ułożą coś bardzo podobnego do systemu dzisiejszego, co nie usprawiedliwi potrzeby radykalnej reformy (przykład: reforma z 1936 r.).

Zrozumiały jest dla wszystkich nacechowany głęboką uczuciowością stosunek red. Dobrowolskiego do sprawy pisowni. Ale tu nie uczucia trzeba, lecz chłodnego zastanowienia się. Przypomina mi to podobny stosunek do pisowni, jaki miał w r. 1936 prof. Weyberg we Lwowie. Otóż ten uczony zajmujący katedrę krystalografii w Lwowskim Uniwersytecie wygłosił w Kasynie Literackim płomienny odczyt potępiający uchwaloną właśnie reformę pisowni; argumenty jego etracały się jednak w sferze takich truizmów, jak „ubożenie języka", „kalanie świętości, która pozwoliła nam przetrwać noc zaborów" itd. itd. Zapytany prywatnie po odczycie, jaki by stopień postawił studentowi, który by mu przy egzaminie z krystalografii zaczął opowiadać np. o diamencie, że to taki świecący kamyczek, który kosztuje drogo, daje się oszlifowany oprawiać w szlachetne metale i wtedy bywa klejnotem, słowem gdyby zamiast podać ściśle wiadomości o fizycznych cechach kryształu, jego osiach, itp. zaczął opisywać diament, jak przeciętny śmiertelnik—nie bardzo umiał odpowiedzieć. Nie można było czcigodnemu profesorowi odmówić wielkiej miłości do języka ojczystego i wielkiej wiedzy w zakresie krystalografii. Na języku i sprawach z nim związanych jednak się nie znał.

Rzeczy, o których tu pisałem, nie są żadnymi nowymi obiawieniami; pisano o tym dawno i przekonywano już niejednego publicystę. Wystarczyłoby przejrzeć rocznik czasopism z okresu reformy w 1936 r.,**) wzorując się w tym względzie choć trochę np. na Żeromskim, któremu sprawy języka były tak bliskie. Bo samo powiedzenie „proszę mnie o tym przekonać" bardzo wprawdzie ośmiela, ale gdy tak zechcą napisać wszyscy, którym coś w pisowni nie odpowiada, to na przekonywanie w sprawach dawno uznanych za bezsporne i już uważanych za pogrzebane i czasu i sił nie starczy nie tylko prof. Nitschowi ale i małym znawcom języka.

Co się tyczy zarzutu „ bolszewizmu", który — zdaniem red. Dobrowolskiego — przeciwnicy na pewno mu postawią, to obawy są naprawdę przedwczesne. Bolszewicka rewolucja październikowa wprowadziła do pisowni rosyjskiej dosyć skromne zmiany: usunięto tzw. „twiordyj znak", usunięto „jat" pisząc wszędzie „e" zmieniono końcówkę 2-go przypadku przymiotników z cerkiewnych — **ago** na **ogo**, w 2 przypadku zaimka **ona** zaczęto pisać, zgodnie z wymową, **„ee" (—jejo)** zamiast cerkiewnego **jeja**. I to bodaj wszystkie ważniejsze! Bo nie pisze się ani **a** na miejscu nie akcentowanego **o**, choć tak się wymawia (piszą np. Rosjanie **choreszo** a wymawiają **charaszo**), ani nie wprowadzono, jak zamierzano na początku, alfabetu łacińskiego — wszystko to, aby zachować związek z przeszłością. A zmiany pisowni podobne do zmian przeprowadzonych przez rewolucję rosyjską pisownia polska dawno już przeprowadziła wprowadzając np **j** zamiast dawniejszego **i** lub **y** (ieden = jeden, Mikołay = Mikołaj) lub usuwając **é** (pochylone).

Sam też autor Kroniki tygodniowej powiada, że „za mego krótkiego życia kilkakrotnie reformowano polską pisownię, w tym dwa razy gruntownie". Stwierdza przy tym, że te zmiany go nie zadowoliły. A sam czego się domaga? Nowej zmiany! Przysięgam, że i ta go nie zadowoli. Nie ulega wątpliwości, że zmian pisowni było za dużo. Zamiast zwoływać przed r. 1936 olbrzymie, trudne do kierowania i jednomyślności ciało Komitetu Ortograficznego wystarczyło usunąć sprzeczności w pisowni Akademii z 1918 r. Mogło tego dokonać paru ludzi, a efekt nie byłby gorszy od uchwał zatwierdzonych w 1936 r.

I dziś znowu lepiej będzie zostawić już pisownię, taką jaka jest, bo się zaczyna u c i e r a ć i coraz mniej będzie tych, co do niej nie przywykli. A dość duże niekonsekwencje, szczególnie w dziedzinie pisania „łącznie" i „rozłącznie" oraz używania dużych i małych liter można usunąć, opierając się na tym, że Komitet ortograficznych z lat 1934 — 6 nie rozwiązał się i pozostawił sobie prawo uzupełnienia nowymi przepisami pominiętych szczegółów.***) Ręczę, że prof. Nitsch skrycie o tym marzy tylko nie zdradza się z zamysłami przed nikim, nie chcąc już ściągać na siebie niezasłużonych gromów za autorstwo projektu nowych zmian ortografii.

„Wywiodłeś wszystkim, nie wywiodłeś sobie, łatwiej rzec, widzę, niż czynić, i tobie..." powiada Kochanowski do Cycerona w Trenie XVI. Słowa te można z dużą słusznością i do mnie zastosować. Obiecywałem sobie bowiem, że w odróżnieniu od formy artykułu red. Dobrowolskiego postaram się przekonać go spokojnie. A widzę, że nie we wszystkich miejscach słowa dotrzymałem. Ale winien temu nasz język i jego sprawy, które tak głęboko sięgają w sferę uczuć, że zupełnie spokojnie o nich ani red. Dobrowolski pisać nie potrafił, ani ja mu odpowiedzieć nie umiałem. **Stefan Hrabec**

**) Spis ważniejszych artykułów polemicznych w sprawie pisowni z 1936 r. można znaleźć w Przedmowie do XI (oficjalnego) wydania „Pisowni polskiej" Akademii Umiejętności. Kraków 1936. Str. 9 — 10.

***) Por. Pisownia polska. Wyd. Polskiej Akademii Umiejętności. Kraków 1936. Str. 11.

PRZEGLĄD PRASY

Od kilku miesięcy łódzki tygodnik „Wieś" przekształcił swoje oblicze. „Wieś" powinna właściwie zmienić już dziś swoją nazwę, bowiem nie wiele pozostało w niej z dawnego „wiejskiego" pisma. Te zmiany, jakie nastąpiły we „Wsi" wydają mi się bardzo szczęśliwe i korzystne, nie tylko dla zainteresowanych bezpośrednio pismem młodych działaczy ludowych, ale również dla całości naszego życia literackiego, którego tendencje coraz to bardziej stają się odśrodkowe, jeśli jako środek przyjąć mieszczańską warstwę czytelniczą. Zapewne, kultura zamknięta doniedawna w dwuch kawiarniach i w jednym literackim piśmie stołecznym staje się dziś udziałem szerszych grup społecznych niż mieszczańska inteligencja. Jednocześnie jednak następuje proces dodatkowy — nowi adepci kultury traktują ją jak coś, co da się w całości i bez reszty doskonale uplanować, ułożyć w gotowe schematy wykreślone przez socjologów i polityków. Stąd też obserwujemy naturalną zupełnie skłonność nieustannego mieszania np. spraw literatury ze sprawami *polityki, niezależnie od tego czy jest to potrzebne czy nie. Chcę być dobrze zrozumiany*, piszę bowiem na szpaltach pisma, które w ciągu trzech lat bez mała tę właśnie metodę stosuje. Otóż byłoby nonsensem zaprzeczać, że społeczna i gospodarcza organizacja zbiorowisk ludzkich wpływa w sposób zasadniczy na kształtowanie się kultury. Prawda to stara jak świat i niema się co nad nią rozwodzić. Od trzech lat jednak popadliśmy, jak mi się zdaje, w ryzykowną manię sprowadzania wszystkiego, co dzieje się i działo na wąskim odcinku kultury — myślę tu o sztuce, a ściślej literaturze, do matematycznego niemal równania, w którym z góry znane są wszystkie niewiadome. Przeważna ilość wypowiedzi na tematy literackie pomija całkowicie istotę literatury — dzieło. Natomiast dłubie się żmudnie we wszystkim innym, przymierza się starannie ideologię osobistą autora dawno zmarłego, zamiast wnioskować o niej z wymowy jego książek.

Mamy więc do czynienia z chorobą odwrotną niż choroba panująca do roku 1939. Przerost naiwnego psychologizmu lub schematycznego formalizmu ustąpił miejsca naiwnemu niekiedy socjologizowaniu i schematycznemu antyformalizmowi. Nieznośna wulgaryzacja mieszczańska, została zastąpiona przez nieznośną pedanterię badaczy pisma. Obie drogi prowadzą na manowce. Literatura napewno nigdy nie była i nie jest pisana tylko po to, by odpowiedzieć na detaliczne zamówienie społeczne. Literatura zawsze odpowiadała żywo historii wtedy, kiedy trafnie oceniała sprawy ludzkie, kiedy wytykała błędy czasu, kiedy pomagała człowiekowi lepiej i jaśniej widzieć. Nieporozumienia co do tego, jaka literatura pomaga jaśniej i lepiej widzieć, były tak częste w historii krytyki, że powstrzymam się tu od cytat. W każdym razie nie od rzeczy będzie tu przypomnieć, że rewizje w najszlachetniejszych nawet celach przeprowadzane nieraz były zawodne. Krytykując Tołstoja za to, że nie odpowiada w swoich książkach na palące potrzeby rzeczywistości, powiedział ktoś w ubiegłym stuleciu, że „Anna Karenina" to powieść ginekologiczna. Minęło kilkadziesiąt lat i wśród licznych książek, które pomogły ludziom przetrwać czasy pogardy, były książki Lwa Tołstoja i jego „Anna Karenina".

Dlaczego piszę to wszystko, gdy miałem pisać o przemienionej „Wsi"? Dlatego, że przemieniona „Wieś" sprawia od kilku miesięcy wrażenie młodzieńczej „Kuźnicy". A „Kuźnica"? O, nie wiecie co to jest „Kuźnica", przyjaciele ze „Wsi" i ty, Janie Aleksandrze Królu! „Kuźnica" postanowiła kiedyś wszystko zrewidować. Ale wiemy, że to wszystko nie jest takie zupełnie proste. Są do wykonania dwie prace — rozsądna, zgodna z nowoczesnym poglądem na świat, ocena przeszłości literackiej, gdzie jak myślę, trzeba ostrożnie ważyć każde słowo, by nie zmniejszać z lekkim sercem wielkiego dorobku, jaki dziś w kilkunastu krajach Europy przejmują nowe warstwy społeczne. Druga praca polega na równie rozsądnym i nie liczącym się z demagogią stosunkiem do bieżącej twórczości literackiej. Otóż „Wieś", która pozatem przynosi mnóstwo niezmiernie cennego materiału dotyczącego sprawy ludowej (od niedawna zaprowadzona rubryka pod nazwą „Sto lat temu" — rodzaj antologii postępowej myśli polskiej) oraz zajmuje się żywymi problemami polityki kulturalnej (artykuły Króla) w tych dwuch niezmiernie ważnych dla jej czytelników problemach prowadzi politykę trochę krótkowzroczną. Rewizjonizm niektórych artykułów o literaturze, czytanych zawsze z zainteresowaniem we „Wsi" wynika zapewne z chęci całkowitego przystosowania tradycji literackiej do detalicznych potrzeb dzisiejszego dnia. Z tak spreparowanej literatury można już oczywiście czerpać gotowe recepty na twórczość współczesną. Kryteria „rewizjonistycznej oceny" literatury dawnej, upoważniają do stawiania „rewolucyjnych" postulatów literaturze dzisiejszej.

To też można nr 7 „Wsi" traktować niemal jako wzór tej kwestionowanej przeze mnie krytyki. Trzej młodzi poloniści łódzcy, których praca godna jest szacunku, oceniają trzech wielkich pisarzy rosyjskich — Turgieniewa, Dostojewskiego, Gorkiego. Z tej próby ognia i wody jeden Gorki, rzecz prosta, wychodzi cało. Tadeusz Chróścielewski pisząc o Turgieniewie wysuwa pretensje wobec wielkiego autora „Dymu", że nie pokazał zbuntowanych chłopów, Maria Janion analizując twórczość Teodora Dostojewskiego stwierdza, że przeszedł on klasyczną drogę humanitarnego mieszczanina Czytając te dwa studia mam po chwili wrażenie, że Turgieniew i Dostojewski to dwaj biali generałowie na amerykańskim żołdzie.

Chróścielewski pisze: — „Nie pokazuje Turgieniew chłopa mściwego etc. Zamierza wprawdzie pisać o samosądzie chłopskim nad zezwierzęciałym dziedzicem... Jednakże zamiaru nie realizuje — jak przypuszcza radziecki historyk literatury Zjerczaninow ze względów cenzuralnych. Moim zdaniem przyczyny należałoby szukać w samej ideologii Turgieniewa". Biedny Iwanie Siergiejewiczu, przez inkwizycję „Wsi" tak łatwo nie przejdziesz. Wypomną ci tu wszystko — i to, że byłeś „zachodnikiem" i to, że siedziałeś lata całe w Paryżu. Ale nie powiedzą nam, dlaczego nowele i powieści Iwana Turgieniewa pomagały i pomagają ludziom widzieć świat lepiej i dokładniej. Dlaczego „Biesy" Dostojewskiego są arcydziełem znajomości nie tylko psychologii, ale przede wszystkim podstawowych praw rządzących liberalną inteligencją rosyjską tamtych lat? Tego też nie dowiemy się z artykułu o Dostojewskim, zamieszczonym w 7 numerze „Wsi". A myślę, że takie właśnie powinno być zadanie młodej krytyki, zaopatrzonej w precyzyjne aparaty ekonomii, socjologii i historii — pomóc czytelnikom „Wsi" w przejęciu na własność dzieł Turgieniewa, Dostojewskiego czy innych wielkich pisarzy, bez których pomocy nasza wiedza o świecie i o ludziach byłaby nikła, uboga, ograniczona do fikcyjnych schematów.

Artykuł Drewnowskiego o „Murach Jerycha" Brezy, to świadectwo, że druga część tej pracy, o której wspominałem poprzednio, nie została wykonana. Autor bardzo interesująco polemizuje z dotychczasowymi recenzentami Brezy, ale wniosek wyciąga najmniej oczekiwany. Książka jest... za trudna dla czytelników nie — inteligentów. Ależ czytanie książek wymaga pewnego przygotowania. Uproszczenie literatury doprowadzi tylko do uproszczenia czytelnika, a nam przecież chodzi o to, żeby ten czytelnik był na wysokim poziomie. Z tego pozornie błędnego koła wyjście jednak istnieje. Polega ono na nieustannej popularyzacji literatury klasycznej, wymaga okazania pomocy nowemu czytelnikowi, na wpojeniu mu przekonania, że stary Turgieniew to przyjaciel, a nie straszny, reakcyjny wróg. Można mieć rozmaite poglądy na poszczególne utwory współczesnej literatury rosyjskiej, mogą się one podobać lub nie, akceptować metody używane przez Fadiejewa czy Twardowskiego lub je odrzucić — jedno jest pewne — Rosjanie strzegą jak oka w głowie, swojej wielkiej literatury klasycznej, rewidują niezmiernie ostrożnie. Czasy przeciwstawiania takiego czy innego pomysłu autonomicznej prolet-kultury tradycji Puszkina, Gogola czy Tołstoja, minęły już dawno i trwały niedługo. Kultura nie znosi próżni. Nie żądajcie od klasyków europejskiej prozy XIX wieku, by byli jasnowidzami historii. Wystarczy, jeśli byli wielkimi i mądrymi pisarzami.

Przykro byłoby rozstać się ze „Wsią" w ten sposób. Między tą grupą młodych, zapalonych badaczy i nami, nie powinno być cienia. Taki np. artykuł Króla o „Jasnych Łanach" i problemie traktowania wsi przez film i pisarzy czy też wiersze Kamieńskiej pozwalają zapomnieć o nieporozumieniach młodych badaczy klasyków; nieporozumienia te służą mi jako pretekst do wypowiedzenia kilku własnych myśli o literaturze. **ph.**

KAJETAN KOTOWICZ

NAFTA

felieton gospodarczy

NIE WSZYSTKIE kłopoty amerykańskie zasługują na naszą uwagę. Są jednak wśród nich takie, które warto pilnie śledzić, choć z pozoru mają one wewnętrzny charakter.

Najpierw trochę cyfr. Stany Zjednoczone wraz z basenem karaibskim wyprodukowały dotychczas c/a 73 proc światowego wydobycia ropy naftowej. Ameryka posiada 46 proc. znanych światowych zapasów ropy. Dzienna produkcja, która w roku 1941 wynosiła 3.800.000 baryłek, osiągnęła w lipcu 1945 r. cyfrę 5.600.000 baryłek.

To niebywałe bogactwo surowcowe i olbrzymia produkcja nie uchroniły jednak Ameryki przed kryzysem naftowym. Dzienniki amerykańskie zamieszczają obecnie ogłoszenie producentów benzyny, którzy zawiadamiają swych odbiorców krajowych, że nie wszystkie ich zapotrzebowania będą mogły być pokryte. Ocenia się, że niektóre rejony Stanów będą musiały skomprymować swoje zużycie o ca 15 proc.

Po zakończeniu wojny zużycie produktów naftowych w Stanach Zjednoczonych wzrosło bardzo gwałtownie. Nie tylko przemysł samochodowy, ale i inne przemysły i rolnictwo wzmogły zapotrzebowania. Konsumpcja rolnictwa np. wzrosła od 1941 r. do 1947 r. o równe 100 proc. Od dziesiątków lat Stany Zjednoczone po raz pierwszy nie są w stanie pokryć swego wewnętrznego zapotrzebowania na produkty naftowe. Jeśli zima tegoroczna będzie ostra i długotrwała — przewiduje się możliwość zamknięcia niektórych fabryk, których urządzenia przystosowane są do używania produktów naftowych, jako energii cieplnej.

Oczywiście — nic to poważnego. Amerykański kryzys naftowy nie naruszy biegu spraw na drugiej półkuli, ale może naruszyć bieg spraw — na naszej.

Bogactwo naftowe Środkowego Wschodu nie jest znane opinii publicznej w tym stopniu, w jakim znają je nafciarze angielscy, amerykańscy i holenderscy. Oceny tego bogactwa nie są bezbłędne. Jedni szacują zapasy ropy Środkowego Wschodu na 42 proc. zapasów światowych, inni twierdzą, że wynoszą one o 50 proc. więcej, aniżeli zapasy Ameryki. Nie ma jednak wątpliwości, że należą one dziś do najpoważniejszych na świecie. Ich znaczenie dla koncernów naftowych jest tym większe, że kraje te konsumują same znikome ilości benzyny — ropa naftowa tych terenów jest więc typowym artykułem eksportowym. Już dziś zajmują one drugie miejsce w światowym eksporcie ropy. Fachowcy twierdzą, że bliski jest dzień, w którym Persja Irak i Arabia staną się pierwszym eksporterem świata.

Porty i drogi wodne krajów Środkowego Wschodu leżą na linii najżywotniejszych interesów strategicznych Imperium Brytyjskiego. Przed rokiem zwyciężyła w Londynie koncepcja naftowego porozumienia angloamerykańskiego, którą oficjalnie ogłoszono— którego losy nie są jednak bliżej znane. Kapitał angielski przez pewne koncesje na rzecz Amerykanów pragnął uczynić zagadnienie Środkowego Wschodu wspólną sprawą anglo-amerykańską. Jeśli cośkolwiek można wnosić w tych zawiłych sprawach z nielicznych faktów, które przedostają się do wiadomości publicznej — polityka ta choć nie pogrzebana, natrafia na bardzo poważne przekody. Świadczy o tym niedawna podróż min. Edena do Teheranu. Wymowniejsze jeszcze znaczenie ma traktat Anglii i Iraku, podpisany 15 stycznia br. w Portsmouth i — odrzucony już w sześć dni później przez Regenta Iraku. Traktat ten przyznawał Anglii m. in. prawo utrzymywania na terenie Iraku baz lotniczych, stwarza więc prawne podstawy do militarnej ochrony angielskich interesów naftowych. Iraccy przywódcy polityczni, przekonani widocznie przez kogoś wymownego, oświadczyli, że „nie ratyfikują żadnego traktatu, któryby nie zabezpieczał praw kraju i aspiracji ludności."

Amerykański kryzys naftowy wynikł m. in. z niedostatku środków transportowych. Najsilniej uprzemysłowione wschodnie rejony Stanów 93 proc. swego zapotrzebowania sprowadzały przy pomocy tankowców. Dziwnym zbiegiem okoliczności Komisja Morska za zgodą zainteresowanych, sprzedała niedawno zagranicę 83 tankowce, których brak daje się silnie odczuwać.

Brak benzyny w Ameryce, to sprawa która obchodzi każdego obywatela. Musi więc obchodzić i rząd. Nie jest wykluczone, że tym zawiłym językiem, presją opinii publicznej i ogłoszeniami w gazetach Standard Oil Company of New Jersey i Socony — Vacuum Oil Company chcą osiągnąć to, czego nie dało się uzyskać inną drogą: zmusić Departament Stanu do energiczniejszego poparcia interesów tych towarzystw w Persji i Iraku.

Nie jestem pewien czy ta interpretacja jest słuszna — nie należę do wysoko wtajemniczonych. Język anglosaskich nafciarzy należy do najtrudniejszych w świecie. Lepiej jednak mówić nim niegramatycznie niż nie znać go wcale.

Wspominając kłopoty, które miał po schwytaniu go przez bandę Angulimali, powiedział Kamaniła uroczej Vasitthi: „Język zbójecki był mi wówczas jeszcze nie znany. Widać stąd, jak źle oceniamy, które wiadomości są nam najużyteczniejsze".

Kajetan Kotowicz

„Budżet" turecki w satyrze

W związku z niedawną debatą nad preliminarzem budżetowym w parlamencie tureckim humorystyczny tygodnik „Marko Pasa", wychodzący w Ankarze, zamieszcza następujący artykulik:

„Marko Pasa", który udał się do Ankary, złożył premierowi następujący własny projekt budżetu:

Wydatki:

	Funt. tur.
Dodatek dla wyżywienia misji amerykańskich	150.000.000
Sumy na umożliwienie „roztycia się" tych, którzy udają się do Ameryki	150.000.000
Dodatek dla „kamelotów" amerykańskich	300.000.000
Dodatek dla Podsekretarza Bezpieczeństwa	100.000.000
Oddziały policji amerykańskiej, obciążone obowiązkiem zapewnienia bezpieczeństwa policji tureckiej	80.000.000
Dodatek dla wizyt okrętów amerykańskich	150.000.000
Dodatek dla importu z Ameryki „kultury" i „braku kultury" narodowej	150.000.000
Dodatek dla specjalistów amerykańskich, obciążonych obowiązkiem zmiany od A do Z naszego dziś i jutro	125.000.000
Ogółem	1.205.000.000

Dochody:

Suma ze sprzedaży kości i skór 16 milionów obywateli	100.000.000
Dochód pochodzący z podatków od luksusu 2 milionów obywateli	400.000.000
Pożyczka, zaciągnięta przez rząd, dzięki pośrednictwu Ameryki, w Banku Tureckim	705.000.000
Ogółem	1.205.000.000

Bądźcie, jako ptaszki

Na nadzwyczajnym zjeździe czeskich i słowackich biskupów katolickich, jaki w obecności internuncjusza papieskiego Rittera odbył się w tych dniach w Pradze, zaprotestowano przeciwko rozszerzeniu reformy rolnej w Czechosłowacji na majątki stanowiące własność kościelną i powzięto uchwałę, która stwierdza między innymi: „Katolicki lud czechosłowacki nie życzy sobie, aby zamiast błogosławieństwa Bożego padło przekleństwo

na naszą ojczyznę i na nasz naród. Historia wykazuje niezbicie, iż **odbieranie Kościołowi jego majątków ściągało zawsze na naród ciężkie kary fizyczne i duchowe.** Dlatego tez domagamy się w imieniu ludu katolickiego, aby realizację reformy rolnej w odniesieniu do majątków kościelnych odroczono do chwili uzgodnienia kwestii ze Stolicą Apostolską".

Jak wiadomo, w Meksyku po konfiskacie latyfundiów klasztornych nastąpiło trzęsienie ziemi. W innych krajach występowało tylko zaćmienie księżyca. **bs.**

Nie unikaj samic...

Bibliografia literatury o „Lalce" wzbogaciła się o nowy komentarz, napisany do użytku młodzieży szkolnej przez dr. Czesława Latawca i wydany przez Poznańską Spółkę Wydawniczą. Komentarz ten jest z wielu względów symptomatyczny. Autor próbuje być nowoczesny i postępowy, interpretuje powieść historycznie, ba! nawet socjologicznie. Niestety, coś usłyszał, ale nie wie w jakim kościele. Oto drobny wybór historycznych twierdzeń p. Latawca:

„Struktura społeczeństwa polskiego XIX wieku była anormalna". (Str. 10).

„Warstwa ta (scil. arystokracja) opanowała i uzależniła od siebie wszelki kapitał do tego stopnia, że uniemożliwiła przedstawicielom innych klas społecznych wszelkie możliwości awansu..

...Najstraszniejszym w tym zjawisku było to, że nikt w kraju przeciwko temu nie protestował, że hegemonie ich (scil. arystokracji) traktowano w kraju jako zjawisko zupełnie zrozumiałe, normalne" (str. 11).

„...Aby uzyskać popularność i wziętość trzeba było uprawiać rozpustę na szeroką skalę " (str. 12).

.....Szybko zorientowano się, że wielkość dochodów zależy ściśle od ogromu kapitału, jakim się rozporządza. (Str. 12). To spostrzeżenie jest głębokie i słuszne, ale mało oryginalne.

...Nie stwarza on (scil Wokulski) ośrodków przemysłu, a jedynie pośredniczy jako dostawca spekulant. Nic dziwnego, że spadkobiercami jego stają się Żydzi, których działalność miała zawsze charakter pośrednictwa" (str. 22).

..."Poziom intelektualny zarówno warstw wyższych jak niższych jest bardzo niski, a życie ówczesne jest jałowe i beznadziejnie nudne. (Mowa o okresie pozytywizmu). Nic dziwnego, że przemysł i handel są dziedziną cudzoziemskiego kapitału i cudzoziemskiej inicjatywy". (Str. 23).

..."Warszawa jest jednym, wielkim śmietnikiem. Na podwórzach reprezentacyjnych kamienic sterty śmieci, sięgające około pierwszego piętra, w mieszkaniach zaduch i smród..." (str. 24).

...„W końcu poddaje się (scil. Wokulski) ogólnej **psychozie histerii** rewolucyjnej i należy do najaktywniejszych działaczy rewolucyjnych 63 roku. Rewolucyjność, to druga jego pasja". (str. 77).

...„Socjalizm w ówczesnym czasie jeszcze był niczym innym jak kiwaniem palcem w bucie" (str. 132).

Poza zagadnieniami społecznymi baczną uwagę przy interpretacji „Lalki" zwrócił doktór Latawiec na zagadnienie miłości. W tej sprawie okazał się również głębokim duchologiem i koneserem.

„Tu dojeramy do zasadniczego problemu „Lalki" Prusa, a jest nim zagadnienie erotyzmu" (str. 44).

...„Jako wesoła wdówka cieszyła się (scil. Wąsowska) w społeczeństwie uprzywilejowanym stanowiskiem..." (str. 68).

...„Ze swobodą seksualną kobieta traci swe uprzywilejowane stanowisko, traci swoją misję przez całe dzieje kultury sobie narzuconą i jest mniej więcej takim samym bydlakiem jak każdy mężczyzna" (str. 70).

...„Temperamentem i charakterem Wokulski przypomina Mickiewicza. Obydwaj są ludźmi głęboko namiętnymi, skłonnymi do potężnych porywów, jak załamań psychicznych, okresów spolanienia(!!!), apatii, obydwaj są ludźmi pasyj. Obydwaj postawili kochankę na niedoścignej wyżynie, obydwaj wyidealizowali ją, ubóstwili, przywiązali się, uzależnili się od niej każdym niemal tętnem serca, obydwaj doznali ciężkiego zawodu" (str. 85). „Prus analogię posuwa tak daleko, że jak Mickiewicz obok Maryli romansował z Kowalską, tak Wokulski romansuje ze Starską, a nawet z Wąsowską, pomimo, że obydwaj całym sercem należą do swych kochanek" (str. 86).

I wreszcie ostateczny wniosek, jaki młody czytelnik powinien wyciągnąć z lektury „Lalki":

„W obecnych warunkach nakaz jaki płynie z powieści: „unikaj samic innego niż twój gatunku (w znaczeniu różnic klasowych) wobec głębokiego nurtu zdemokratyzowania społeczeństwa zatracił swą aktualność" (str. 135).

Rozumiem, że doktór Latawiec musi pisać, rozumiem, że Poznańska Spółka Wydawnicza musi coś wydawać, ale co winna jest młodzież, że na takich komentarzach uczy się rozumieć „Lalkę"? Oto przykład najbardziej groźnego szkodnictwa kulturalnego i ciągle jeszcze lekkomyślnego dysponowania przydziałami papieru. **jk.**

Nieuzasadnione pretensje

W felietonie „Życie kulturalne Śląska" (List z Katowic) w „Kurierze Wielkopolskim" Zbyszko Bednorz pisze m.in.:

Przyjazd literata do świetlicy kopalnianej czy hutniczej stanowi przeważnie dużej miary wydarzenie dla tych prostych, ale nie bezkrytycznych robotników.

Trudno pojąc dlaczego do tych wdzięcznych słuchaczy tak rzadko zjeżdżają „wielcy" polskiego świata artystycznego, a zwłaszcza ci, którzy tyle na temat upowszechnienia kultury mówią i piszą, exemplum: z zespołu „Kuźnicy" nie był w śląskim świecie pracy dotąd nikt, rzadko kto tu zagląda z Krakowa, a z Poznania był jeden Bąk.

Odpowiadamy. Przyjazd literatów do świetlicy w fabryce włókienniczej łódzkiej stanowi również dużej miary wydarzenie. Do świetlic łódzkich nie przyjeżdżał dotąd ani krytykujący pisarzy łódzkich Bednorz, ani nikt ze Śląska.

Nie mamy o to do nich żalu, bo wiemy, że równie trudno o czas na wyjazdy pisarzowi

na Śląsku, co w Warszawie i Łodzi. Sądzimy, że pisarz orientujący się jako tako w trudnościach własnego zawodu, nie powinien rzucać na wiatr pretensji nieuzasadnionych.

rm.

Łowcy sensacji

Przed paroma tygodniami Łódzki oddział Związku Literatów dowiedział się o ciężkiej chorobie córki Marii Konopnickiej, przebywającej w Krośnie. Powodowany niewątpliwie dobrymi intencjami, lecz goniący za sensacją „Express Łódzki" uzyskawszy również tę wiadomość, uczynił z niej „bombę", pisząc m. in.:

Państwo przyznało córce wielkiej poetki dożywotnią rentę w wysokości 3.000 złotych miesięcznie. Mimo swego sędziwego wieku p. Zofia Konopnicka nie zaprzestała jednak pracy. Do ostatniej niemal chwili udzielała lekcji języka francuskiego. **W ten sposób wraz z otrzymaną rentą mogła prowadzić skromny tryb życia** (podkr. nasze).

Fakt, że zamieszkała w Łodzi kuzynka córki znanej pisarki zwróciła się do Związku Literatów i ZAIKS-u o pomoc, umożliwiającą jej udanie się do chorej. „Ekspress" udramatyzował apelem do ofiarności publicznej: „potrzebne są pieniądze"... „jesteśmy przekonani, że sprawa nie przebrzmi bez echa".. itp. Dochodzą nas wieści, że w szkołach młodzi czytelnicy dzieł Marii Konopnickiej prowadziły intensywną zbiórkę pieniężną.

Otóż, stwierdzić trzeba, że w wypadku wyżej wymienionym sama szlachetność intencji „Expressu" nie tłumaczy. Nie wolno apelować do ofiarności publicznej lekkomyślnie. Nie ścisłe jest, że jedyną korzyścią córki Konopnickiej jest skromna renta państwowa. Utwory Konopnickiej wychodzą raz po raz, prawa autorskie pisarki nie wygasły, dochody z nowych wydań jej dzieł obowiązane są wypłacać wydawnictwa, ściągnąć może w każdej chwili ZAIKS. Wiele jest w życiu naszym spraw niezałatwionych, wiele bolączek dotyczy także losu pisarzy, po co stwarzać bolączki fikcyjne. Należy pomóc rodzinie pisarki, ale mądrze, ułatwiając jej, jeśli sama nie wie, jak to uczynić, ściągnięcie jej należności. O ile nam wiadomo — uczyniono to już. I to wszystko. **rkm**

List do wydawców

Niedowno szperając w listach pewnego wielkiego poety romantycznego znalazłem takie słowa:

„Wystaw sobie chłopka bogatego, z rodzina już czytać umiejącą, za sto lat, w cichym gdzieś domku pod Krakowem. Odpoczywa po wojnie, szczęśliwy, ogień pali się w izbie, a przy kalendarzu już i niektóre ksiażki znajdują się na stole. Wystawże go sobie, że czyta Balladynę, ten utwór bawi go jak baśń, a razem uczy jakiejś harmonii i dramatycznej formy. Bierzę Lillę, to samo. Mazepa trochę już mu się wydaje nadto deklamatorskim. Lecz zajrzał w Godzinę myśli albo w Lambra, i rzucił ze wzgardą te melancholiczne skargi dziecka niedorosłego. Otóż dla tego chłopka jest Saly, X. Marek i Xiążę Niezłomny..."

Na kopercie napis — Madame Salomée Becu, a Krzemieniec, w liście podpis: Jul. Paryż, w lutym 1845 roku.

Gdyby Juliusz Słowacki żył, zamiast pisać do matki, jak to uczynił przed stu trzema laty, siadłby pewnie i napisał list do Jerzego Borejszy, albo do ob Kassmana, albo do dyrektora Bachracha z „Piwu", albo do „Wiedzy", zresztą może do któregoś z prywatnych wydawców. Napisałby o chłopku bogatym pod Krakowem, odpoczywającym po wojnie, napisałby, że wszystko się sprawdziło, że są już niektóre książki przy kalendarzu, jest Meissner i Wiech, jest Fiedler i Paukszta, Magdalena Samozwaniec i Szczepan Jeleński, i jeszcze tysiąc innych rzeczy. Jest już nawet Orzeszkowa, Strug, Żeromski. Zapowiedziano pisma Adama. Ale nie ma nawet słychu o przygotowaniach do wydania dzieł zebranych biednego marzyciela sprzed stulecia.

Rok 1849 jest rokiem jubileuszowym. Należy się spodziewać, iż jeszcze w roku bieżącym jedno z wielkich wydawnictw spółdzielczych podejmie tanie, popularne zbiorowe wydanie dzieł Juliusza Słowackiego. **ph.**

KORESPONDENCJA

Szanowny Panie Redaktorze!

Z zainteresowaniem odczytałem list Dyrektora Wydziału Wydawniczego „Wiedzy" donoszący o tym, że książkę „Kierunek na Elżbietkę" wydała nie „Wiedza" lecz „Ekspress Wieczorny". Z niemniejszym zainteresowaniem oglądam codziennie trzecią stronę każdego kolejnego numeru „Ekspressu", na której to stronie widnieje jak wół:

Wydawca: Spółdz. Wyd. „Wiedza".

Czyli, że „Wiedza" wprawdzie nie wydała Elżbietki, ale wydaje „Express", który z kolei wydał Elżbietkę. Czyli z rodowodu tego wynika, że Elżbietka, acz nie jest córką „Wiedzy" — jest jej wnuczką. Czyli, że dyrektor Wydziału Wydawniczego „Wiedzy" zapierając się ojcostwa Elżbietki i zatajając fakt, iż jest ona jego wnuczką — zasługuje na miano strasznego dziadunia.

Z wysokim poważaniem
Janusz Minkiewicz

P. S. Zapewne interesuje Pana Redaktora, czy wreszcie „Wiedza" wypłaciła mi honorarium, o którym dyrektor Jej Wydziału Wydawniczego stwierdził w wystosowanym do „Kuźnicy" piśmie, że zostało mi wpłacone w maju 1946 r.? Otóż komunikuję, że do tej pory honorarium wspomniane nie nadeszło ani na moje ręce, ani na konto RTPD, na którego korzyść zrzekłem się tej należności.

OD REDAKCJI

W związku z listami, jakie otrzymaliśmy w sprawie zamieszczonej w nr 6 „Kuźnicy" noty pt. „Panna Gawronek" wyjaśniamy, że nota ta wpłynęła jako materiał z poza redakcji. Biorąc pod uwagę zawarte w listach tych argumenty wyjaśniamy, że redakcja w tym wypadku nie podziela poglądów autora noty, a zamieszczone pod notą inicjały rdc. nie są inicjałami redakcji ani skrótem żadnego z nazwisk pisarzy, współpracujących z „Kuźnicą".

KSIĄŻKI NADESŁANE

Zofia Petersowa: — Liczyrzepa duch gór (Bajki dla młodzieży), nakład. Spółdz. Wydawn. „Wiedza", Warszawa, 1948, str. 132.

Jerzy Broszkiewicz: — Oczekiwanie, nakład. Spółdz. Wydawn. „Wiedza", Warszawa, 1948, str. 297.

Leon Hallau: — Mistyczne podstawy narodowego socyalizmu, wyd. II, nakład. Towarzystwa Naukowego K.U.L., Lublin 1948, str. 50.

Dr Władysław Szafer: — Powstanie i drogi rozwoju życia na ziemi, nakład. Towarzystwa Naukowego K.U.L., Lublin 1948, str. 31.

Dr Karol Górski: — O interpretacji i wartościowaniu w historii nakład. Towarzystwa Naukowego K.U.L., Lublin 1948, str. 30.

Wanda Wasilewska: Kryształowa kula Krzysztofa Kolumba, nakład. wydawnictwa Prasa Wojskowa", Warszawa, str. 91.

Jerzy Piórkowski: Życiorys wykuty kilofem, nakład. wydawnictwa „Prasa Wojskowa", Warszawa, str. 62.

Oprac. Stanisław Pigoń: Wybór pisarzy ludowych, część I: Pamiętnikarze i publicyści, nakład. wydawn. Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Wrocław 1947(str. 393.

Stanisław Skimina: Eelementa Latine III. Podręcznik do nauki języka łacińskiego, nakład. wydawn. Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Wrocław 1948, str. 83.

Stanisław Skimina: Elementa Latine III. Preparacje. Słowniczki, nakład wydawn. Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Wrocław 1948, str. 112.

Tow. Literackie im. Adama Mickiewicza Oddział w Łodzi: Prace polonistyczne, seria V, nakład Spółdz. Wydawn. „Polonista", Łódź 1947, str 390.

KOMUNIKAT

Działający w Łodzi oddział Żydowskiego Instytutu Historycznego (ul. Narutowicza 32 m. 7) zwraca się zarówno do wszystkich instytucji jak i do osób prywanych z prośbą o współpracę. W szczególności prosimy instytucje i osoby, które mają w swoim posiadaniu materiały historyczne, dotyczące dziejów Żydów w Polsce, by skomunikowały się z nami. Prosimy także tych wszystkich, którzy byli świadkami tragicznych dziejów ludności żydowskiej pod okupacją hitlerowską, by zgłosili się do nas celem złożenia zeznania.

Adres Żydowskiego Instytutu Historycznego, oddział w Łodzi, Narutowicza 32 m. 7. Tel. 157-10.

Redaguje: Zespół „Kuźnicy". Wydawca: Zespół „Kuźnicy"
REDAKTOR NACZELNY: STEFAN ŻÓŁKIEWSKI.
Redaktor naczelny przyjmuje we wtorki, czwartki i soboty od godziny 11 do 13.
Adres Redakcji i Administracji: ul. Piotrkowska Nr 86. — Telefon 205-42.
CENA OGŁOSZEŃ: Za 1 mm na 1 szpalte 46 złotych.
WARUNKI PRENUMERATY:
miesięcznie zł 80,—; kwartalnie zł 240,—; półrocznie zł 480,—; rocznie zł 960,—.
Należność za prenumeratę należy wpłacać do P. K. O. konto VII—567 „Prenumerata Kuźnicy".
D—018432 Drukarnia Nr 4 Sp. Wyd. „Czytelnik" — Łódź, Żwirki 2.